Papiery Stanisława [illegible]

Materiały warsztatowe

([illegible])

1

1882 r

Podziękowanie Rodakom

+) 2

Ukochani rodacy!

Uczciliście 80lecie moje zaprawdę przezacnie i w niezwykły sposób, o jakim nigdy ani śniłem. Ze wszystkich stron Polski jak [illegible] z szeroka, ze stolicy i [illegible] obsypaliście mnie stosami wymownych adresów i listów, i telegramów niezliczonych z tysiącznemi podpisami, których dotąd w [illegible] późnej starości [illegible] zdołałem przeczytać. Wyższa [illegible] nagrodę, wzrusza mnie do głębi serca, i przepełnia [illegible] po kolei [illegible] o jakiem już ani śniłem. Tytuł [illegible] [illegible] pięćsetna [illegible] listopadowe [illegible] wielkich twórców narodu [illegible] ten szczególny urok. Jak wszystko [illegible] [illegible] opromieniony [illegible] wielkiej [illegible] narodowej. W późnej starości [illegible] Bóg [illegible] że [illegible] za najwyższą [illegible] nagrodą w życiu. Pamiątka jest [illegible] w mojej rodzinie. [illegible] Wam [illegible] Ukochani Rodacy [illegible] na [illegible] Niezdołałem się [illegible] oczekiwano. A potem [illegible]

Błogosławię

---

x [illegible] ani [illegible] patriotycznych [illegible] Z [illegible] Bóg [illegible] nastroj

+)

3

Ludu mój Polski, z Korony, Litwy i Rusi! Twoja Wiara, twoja jedność, twoja [illegible], przy których stałem od zarania i na żywot cały, to nie [illegible], ale Tobie należy się cześć tego jubileuszu. Ludu mój Polski! [illegible] Unii [illegible] [illegible] [illegible] Korona, Ruś, Litwa, [illegible] [illegible] [illegible] Bogarodzicy Maryi, która [illegible] obrazy [illegible] [illegible] w bojach i w [illegible] Ojczyzny [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] Rodacy, [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Bóg [illegible] [illegible] [illegible] Bóg [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Bóg zapłać [illegible] [illegible] [illegible]

J. [illegible]

+) a/ ukochani 4

Niezdolność, osłabienie wzroku i [illegible] [illegible] po śmierci [illegible] [illegible], spowodowały [illegible] [illegible] [illegible] Niemogę [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

Nie jestem godzien uczczenia jakie mnie spotkało od was — to [illegible] [illegible] [illegible].

Bierze się to z tego.

Nie umiem pogodzić waszego uczczenia, z [illegible] moją pracą.

W późnej starości nie przestawałem się [illegible] [illegible], i [illegible] [illegible] [illegible]. Zawsze moje [illegible] obywatelskie i literackie [illegible] [illegible] obok zawsze tylko [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i słowa, jakich za łaską Bożą [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Vox populi, vox Dei, [illegible] popularność moja [illegible] [illegible].

Osiągnąwszy, ukochani Rodacy, w 80 lat [illegible] przyszło nam natchnienie [illegible] [illegible] i rozkrzewienia [illegible] poezji polskiej [illegible] Wielkiego [illegible] poetyckiej [illegible]. Niemałą [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] których [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] dni żywota, objawiają mi [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

+)

Ukochani Rodacy!

Bóg zapłać wam, ~~[illegible]~~ za takie dla mnie i życzliwość z powodu ośmdziesięciolecia mego! (Bóg zapłać wam w tem jednem słowie, skupiam wszystką wdzięczność, [illegible] i wszystkie błogosławieństwa dla was tam [illegible]) i to słowo w sercu i w modlitwie do [illegible]

4) 5

W późnej ~~[illegible]~~ starości, że zwłaszcza=
nem zdrowiem i przyjmowanym wszystkim
niespodziewaniem się za [illegible] i roz=
głośnem uczczeniem jakie mnie spotkało
w tutejszem mojem ustroniu
z różnych stron Polski jak długa i szeroka
odebrałem przeszło [illegible]
listy, telegramy, od ludzi znanych i nieznanych
i [illegible], których dotąd przy stwierdzeniu
[illegible] i [illegible] w [illegible]
odczytać ~~nawet~~ [illegible] nie zdołałem.
Niespodziana ~~[illegible]~~ odpisywać tylu
osobom ~~[illegible]~~ tylu
~~[illegible] miejscowości~~ a cóż dopiero
jak najdłuższą ~~wdzięczność~~ na drogę
[illegible] obadwiema [illegible]. Bóg widzi
[illegible] się [illegible] — i [illegible] cier=
pię [illegible] w [illegible] mojej [illegible]
~~[illegible]~~ Rodacy. Niech [illegible]
[illegible] [illegible] mysli
[illegible] przez
[illegible] jubileusz, [illegible] się nie
[illegible] od niego z całą [illegible], najlepiej
[illegible].

Ukochani Rodacy, nie łudźcie się, że odczy=
tacie listy, telegramy nasze, wszystkie
[illegible] do głębi duszy, wywołały w [illegible]
[illegible] wspomnienia z lat minionych
[illegible] z tem wszystkiem
w [illegible] mojem [illegible] pobrzmi=
wać [illegible] jak dzwon zaskarbi
[illegible] na uznanie i uczczenie [illegible]
[illegible]? Nie [illegible] nigdy za [illegible]
[illegible] przecenialem mego talentu. Zasłu=
gi moje i obywatelskie i piśmiennicze [illegible]
[illegible] zasługom innych patriotów
[illegible] takimi [illegible]
[illegible] i [illegible] jakimi [illegible]
[illegible] czasie [illegible] się w ojczyźnie.
[illegible] się [illegible] z tego względu.
Pragnąłem [illegible] milczeniem
jak się wszędzie [illegible] nad moję
[illegible], ale [illegible], obrazilbym na
[illegible] najszczerszych moich, będzie
[illegible] najszczerszej [illegible] wolni! Święty
najlepszej [illegible] i najlepszej woli! Święty
[illegible] Boga!

Monsieur & Madame Richard de Brenk
ont l'honneur de vous faire part du mariage de
Mademoiselle Hélène de Daleszynska,
leur belle-fille et fille, avec Monsieur Eustache

4) 6

Ukochani Rodacy!

Wszystkim wam z całej Polski jak długa i szeroka, obojej płci, wszelakiego stanu i powołania, którzy raczyliście mnie zaszczycić z powodu mego 80-lecia adresami, listami, telegramami, składam niniejszem powinne ale krótkie ogólne choćbyż podziękowanie. Niepodobna mi wyliczać w druku przeróżnych miejscowości, ani listy nazwisk przemiłych łaskawców moich, których z resztą dotąd jeszcze należycie nie przepatrzyłem.

Ukochani Rodacy, przepraszam najpierwej za opóźnienie podziękowania, lubo nastąpiło [illegible] nie z mojej winy. Niezdrów i osłabiony mając wzrok i nie tak łatwy się poruszaniu po zatrzymaniu [illegible] niespodzianie [illegible] przypadłości wiele [illegible] czeniu. Obawiałem się też w duszy [illegible] ze skrupułem, czem to zaskarbię u was na tak zdolnego rozgłośny Jubileusz?

Ukochani Rodacy, oddawna już nie przeceniam się w sobie, ani [illegible] chętliwości. Zasługi moje i obywatelskie i literackie

nieznaczące, drugorzędne, nijakie,
niedorównywają zasługami tylu wy=
szych znamienitych patriotów, mężów
wiedzy, rady i czynu, jakimi chlubimy
się w ojczyźnie. Czem że zdołałem za=
służyć u was na uczczenie?

Ukochani Rodacy, odczytałem
w rozrzewnieniu wasze pismo i pokorą
uznałem, że ta od razu mię [illegible].
„Vox populi, vox Dei." — Popular[illegible]
noszę imienia mego w narodzie
mimo mnie jakieś duchowe znaczenie,
opierać się na duchu i prawdzie
[illegible] długo lat [illegible].
Jubilatem [illegible] od [illegible]
nej poezji Polskiej, [illegible] odrodze=
nia się jej i rozkwitu, tak zmiana
ona [illegible] i [illegible]
[illegible] spostrzeżeniem, [illegible]
[illegible] i [illegible]. W [illegible]
[illegible] co rozgrzewający [illegible] w Niebo
i mój głos, głos [illegible] coś znaczył,
[illegible] potrzebnym [illegible]
nego nastroju. Należne i mój=
nej [illegible] przed [illegible]
[illegible] po nich nagrodą i [illegible]
nieło Boże? [illegible]
[illegible] i [illegible]
[illegible] że nie [illegible]
[illegible] [illegible] aby
[illegible] w [illegible] Pana, pomimo [illegible]
[illegible] ciała i [illegible]
wzroku. Jubilatowi [illegible]
że [illegible]
i [illegible] dawno [illegible]
[illegible].

4)

7

Rzeczywiście, od chwili „Radziny” [illegible] jam się urodził w Arkadii! [illegible] 80 lat i moje sięgające niestety [illegible], ale [illegible], [illegible] zapomnieć [illegible] [illegible] i [illegible] zarazem mego życia, [illegible] z [illegible] Polskiej [illegible] się [illegible] i [illegible], która [illegible] [illegible] Mickiewiczowskiej. [illegible] [illegible] ten bratni i [illegible] przy[illegible] [illegible] zawsze i [illegible] Polski, [illegible] tysiąca [illegible] [illegible] — [illegible] sposobem [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] jubileuszowej, który wyznaje [illegible] i rozrzewnia. [illegible] [illegible] na [illegible] [illegible]. Wielki Adam Mickiewicz [illegible] [illegible] [illegible] spółnicy [illegible] we Francji. [illegible] [illegible] z [illegible] [illegible] się z [illegible] [illegible]. W [illegible] [illegible] [illegible] w [illegible], i mój głos [illegible] [illegible] był [illegible] [illegible] [illegible] do [illegible] i [illegible]. W tym samym [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible], to [illegible] [illegible] Legion [illegible] [illegible] na [illegible] — to [illegible] [illegible] [illegible]!

[illegible] mój Polski z Korony, Litwy i Rusi [illegible] [illegible] Wiary! [illegible], [illegible] [illegible] Pieśni [illegible] od [illegible], to [illegible] starcowi, ale Tobie [illegible] [illegible] należy się cześć z [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] mój Polski [illegible] [illegible] jak źrenicy oka. [illegible] Unii [illegible] Jagiellońskiej. Korona, Ruś, Litwa [illegible] [illegible] to Bratek z [illegible] [illegible] Bogarodzicy Marji, którą [illegible] [illegible] [illegible] obrządku [illegible] [illegible] jak w bojach tak i w [illegible]. [illegible] od [illegible] Zjazdu [illegible] [illegible] [illegible] tylko [illegible] Litwie, [illegible] Bratka [illegible] [illegible] i [illegible] w pełni.

Pokleuski de Koziell, Chevalier de l'Ordre
du Christ, attaché au Ministère des Travaux
Publics du Portugal;

Et vous prient d'assister à la bénédiction nuptiale
qui leur sera donnée en l'Eglise de l'Assomption,
(263, rue St Honoré), le Mardi 7 Février 1882,
à midi très-précis.

*)

8

Ukochani Rodacy!

Wszystkim, którzy [illegible] dzień mój [illegible] uczcili adresami, listami, telegramami [illegible] 80 urodzin moich [illegible] [illegible] ogólne [illegible] Niepodobna wyliczać. Bóg zapłać!! i w tem Bóg zapłać [illegible] z rozrzewnieniem wdzięczność [illegible] i [illegible] [illegible] dla [illegible] ojczyzny i dla siebie.

Niezdrowie i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible]

Zasługi moje dla sprawy narodowej [illegible] [illegible] Tylko [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Ale [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] że taj[e] [illegible] Wszystkości [illegible] [illegible] [illegible] do grobu i po za grób do [illegible] [illegible] i [illegible]

[illegible] Boga o Niebo [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] albo [illegible]

Boże [illegible] Polskę.

[illegible] Rusi i ukochani Rodacy [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] pielgrzyme [illegible]

J. B. Z.

*) Ukochani Radcy!

~~Obchód~~ Maluczkiego, schodzącego z po-
la starca wynagrodziliście chociaż nad-
[illegible]ugę Uczciliście

Maluczki, nieszczęśliwy schodzący z tej
[illegible] ziemi

+)

9

Ukochani Rodacy!

Uczczenie ośmdziesięciolecia mo=
je jakonajdostojniej, że mi, doprawdy aż
sromno. Otrzymałem z różnych stron
Polski adresów, których [illegible] słowa=
mi. Wzruszony jestem całą duszą z tych
niezrównanych dowodów łaski waszej i życzliwości. Sła
ne dowody [illegible] serce słodkie=
mnie. Napełniło [illegible] iż to mnie w rozrzew=
Serdeczna pociecha. Bóg zapłać za wszystko.
W późnej atoli mojej starości niespodzie=
wanie [illegible] ani chwałka już "Starca" jako
cem. [illegible] powszechnej [illegible]
grzeje. Nazytem [illegible] zasługi [illegible]
em [illegible] ale snopek tej Uczciwie odbierałem
jest i nieprzedawny. Uczciwie waszej Rodacy! Tytuł to
z dobrej woli jeno waszej, i tytuł inny, rozgłoś=
mój listopadowca, przeżytym
niejszy [illegible] wielkich mistrzów narodu
poczęcie wam wzrok, przewodnia mnie i u=
sprawia [illegible] ozdob naszych,
miła w [illegible] matki dziecię upiększonie
jak wzrok [illegible] onej ery poetyckiej
opromienienia i na mnie pada trochę
niezasłużenie wzrosła uwaga a mnie
Osłabienie [illegible] Kończcam
odsprzy [illegible] pisania. słowka jeszcze
przeciw słowko, pożegnalne słowka jeszcze
od Ukraińca. Jako z[?]niemy osła, strzeże=
cie sojuszu bratniego praojców, Unii
Jagiellońskiej. Korona, Ruś, Litwa,
Trójlistny to Bratek, zachowany kwiat
z wieńca bądź Bogarodzicy Maryi,
która przodkom i nam obojgo obrazku
cześć zarówno w domach i w bojach.

Czuję to w duszy, że od Horodelskiego
zjazdu Rusin czy Litwin przeszczepiony
tak w plemię Lechickie, owocowanie
jego może wypełnić ku pospólnemu
dobru i szczęściu naszego narodu.
Jeszcze raz Bóg zapłać wam

Ukochani Rodacy!

Uczciliście ośmdziesięciolecie moje jak najdostojniej, że mi, doprawdy aż sromno. Otrzymałem z różnych stron Polski adresów, listów, telegramów stosami. Wdzięczen jestem nad wszelki wyraz całą duszą za te chlubne i drogocenne dowody łaski waszej i życzliwości dla mnie. Napełniliście serce starca słodką, duchową pociechą iż topnieje w rozrzewnieniu. Bóg zapłać za wszystko.

W późnej atoli mojej starości nieprzeceniam się, ani chwalba już nie grzeje. Służyłem „poczciwej sławie" jak umiałem, ale snopek tej zasługi szczupły jest i niepokaźny. Uczczenie odbieram z dobrej woli jeno waszej, Rodacy! Tytuł to mój listopadowca, i tytuł inny, rozgłośniejszy pieśniarza w przesławnym poczcie wielkich wieszczów narodu sprawia wam urok, przemienia mnie i umila w miłujących oczach waszych jak wzrok matki dziecię upięknia. Z opromienienia owej ery poetyckiej niewątpliwie i na mnie pada trochę.

Osłabienie wzroku uwalnia mnie od przydłuższego pisania. Dorzucam przecię słówko, pożegnalne słówko jeszcze od Ukraińca. Jako źrenicy oka, strzeżcie sojuszu bratniego praojców, Unii Jagiellońskiej. Korona, Ruś, Litwa, trójlistny to Bratek, duchowy Kwiat z wieńca bodaj Bogarodzicy Maryi, którą przodkowie nasi obojego obrządku czcili zarówno w domach i w bojach.

Czuję to w duszy, że, od Horodelskiego zjazdu, Rusin czy Litwin przeszczepiony tak w płonkę lechicką, owocować jeno może w pełni, ku pospólnemu dobru i szczęściu naszego narodu.

Jeszcze raz Bóg zapłać Wam.

Bohdan Zaleski.

Ukochani Rodacy!

Uczciliście ośmdziesięciolecie moje jak najdostojniej, że mi, doprawdy aż sromno. Otrzymałem z różnych stron Polski adresów, listów, telegramów stosami. Wdzięczen jestem nad wszelki wyraz całą duszą za te chlubne i drogocenne dowody łaski waszej i życzliwości dla mnie. Napełniliście serce starca słodką, duchową pociechą iż topnieje w rozrzewnieniu. Bóg zapłać za wszystko.

W późnej atoli mojej starości nieprzeceniam się, ani chwalba już niegrzeje. Służyłem „poczciwej sławie" jak umiałem, ale snopek tej zasługi szczupły jest i niepokaźny. Uczczenie odbieram z dobrej woli jeno waszej, Rodacy! Tytuł to mój listopadowca, i tytuł inny, rozgłośniejszy pieśniarza w przesławnym poczcie wielkich wieszczów narodu sprawia wam urok, przemienia mnie i umila w miłujących oczach waszych jak wzrok matki dziecię upiększa. Z opromienienia owej ery poetyckiej niewątpliwie i na mnie pada trochę.

Osłabienie wzroku uwalnia mnie od przydłuższego pisania. Dorzucam przecię słówko, pożegnalne słówko jeszcze od Ukraińca. Jako źrenicy oka, strzeżcie sojuszu bratniego praojców, Unii Jagiellońskiej. Korona, Ruś, Litwa, trójlistny to Bratek, duchowy Kwiat z wieńca bodaj Bogarodzicy Maryi, którą przodkowie nasi obojego obrządku czcili zarówno w domach i w bojach.

Czuję to w duszy, że, od Horodelskiego zjazdu, Rusin czy Litwin przeszczepiony tak w płonkę lechicką, owocować jeno może w pełni, ku pospólnemu dobru i szczęściu naszego narodu.

Jeszcze raz Bóg zapłać Wam.

Bohdan Zaleski.

Ukochani Rodacy!

Uczciliście ośmdziesięciolecie moje jak najdostojniej, że mi, doprawdy aż sromno. Otrzymałem z różnych stron Polski adresów, listów, telegramów stosami. Wdzięczen jestem nad wszelki wyraz całą duszą za te chlubne i drogocenne dowody łaski waszej i życzliwości dla mnie. Napełniliście serce starca słodką, duchową pociechą iż topnieje w rozrzewnieniu. Bóg zapłać za wszystko.

W późnej atoli mojej starości nieprzeceniam się, ani chwalba już niegrzeje. Służyłem „poczciwej sławie" jak umiałem, ale snopek tej zasługi szczupły jest i niepokaźny. Uczczenie odbieram z dobrej woli jeno waszej, Rodacy! Tytuł to mój listopadowca, i tytuł inny, rozgłośniejszy pieśniarza w przesławnym poczcie wielkich wieszczów narodu sprawia wam urok, przemienia mnie i umila w miłujących oczach waszych jak wzrok matki dziecię upięknia. Z opromienienia owej ery poetyckiej niewątpliwie i na mnie pada trochę.

Osłabienie wzroku uwalnia mnie od przydłuższego pisania. Dorzucam przecię słówko, pożegnalne słówko jeszcze od Ukraińca. Jako źrenicy oka, strzeżcie sojuszu bratniego praojców, Unii Jagiellońskiej. Korona, Ruś, Litwa, trójlistny to Bratek, duchowy Kwiat z wieńca bodaj Bogarodzicy Maryi, którą przodkowie nasi obojego obrządku czcili zarówno w domach i w bojach.

Czuję to w duszy, że, od Horodelskiego zjazdu, Rusin czy Litwin przeszczepiony tak w płonkę lechicką, owocować jeno może w pełni, ku pospólnemu dobru i szczęściu naszego narodu.

Jeszcze raz Bóg zapłać Wam.

Bohdan Zaleski.

Ukochani Rodacy!

Uczciliście ośmdziesięciolecie moje jak najdostojniej, że mi doprawdy aż sromno. Otrzymałem z różnych stron Polski adresów, listów, telegramów stosami. Wdzięczen jestem nad wszelki wyraz całą duszą za te chlubne i drogocenne dowody łaski waszej i życzliwości dla mnie. Napełniliście serce starca słodką, duchową pociechą iż topnieje w rozrzewnieniu. Bóg zapłać za wszystko.

W późnej atoli mojej starości nieprzeceniam się, ani chwałba już nie grzeje. Służyłem „poczciwej sławie" jak umiałem, ale snopek tej zasługi szczupły jest i niepokaźny. Uczczenie odbieram z dobrej woli jeno waszej, Rodacy! Tytuł to mój listopadowca, i tytuł inny, rozgłośniejszy pieśniarza w przesławnym poczcie wielkich wieszczów narodu sprawia wam urok, przemienia mnie i umila w miłujących oczach waszych jak wzrok matki dziecię upięknia. Z opromienienia owej ery poetyckiej niewątpliwie i na mnie pada trochę.

Osłabienie wzroku uwalnia mnie od przydłuższego pisania. Dorzucam przecię słówko, pożegnalne słówko jeszcze od Ukraińca. Jako źrenicy oka, strzeżcie sojuszu bratniego praojców, Unii Jagiellońskiej. Korona, Ruś, Litwa, trójlistny to Bratek, duchowy Kwiat z wieńca bodaj Bogarodzicy Maryi, którą przodkowie nasi obojego obrządku czcili zarówno w domach i w bojach.

Czuję to w duszy, że, od Horodelskiego zjazdu, Rusin czy Litwin przeszczepiony tak w płonkę lechicką, owocować jeno może w pełni, ku pospólnemu dobru i szczęściu naszego narodu.

Jeszcze raz Bóg zapłać Wam.

Bohdan Zaleski.

W miesiącu Lutym 1882 roku, obchodzono Jubileusz ś.p. Ojca naszego Bohdana Zaleskiego. Przy wręczeniu mu, przez delegację przybyłą z Paryża, listów i telegramów z przeróżnych dzielnic Kraju i obczyzny przesłanych, Ojciec nasz z rozczuleniem najgłębszem dziękował za życzliwość i pamięć. W dniach następnych napomykał często iż walczy szukać właściwego sposobu ku odezwaniu się z najserdeczniejszem dziękczynieniem do Rodaków znajomych i nieznajomych. Nasuniętą myśl wydrukowania kartki z nadmienieniem nazwiska i wyrazem wdzięczności odrzucił, jako zbyt suchą i niestosowną. Nadeszły dni ciemne, osłabnięcia brak sił. Kilka miesięcy upłynęło, po których Ojciec każdemu z nas powtarzał: - "Za późno by mi się teraz odezwać - czas do tego przeminął. Chyba po śmierci podziękuję!" I to rzeczy samej, w spuściźnie po Nim pozostałej, pierwsze

pismo które nam wpadło
pod oczy było ćwiartkę podzię-
kowania za pamięć Jubileuszową
w formie listu do Rodaków.
Dokładną kopię tego listu
dołączamy i sądzimy że W. Pan
osądzi za stosowne umieścić
ją w szpaltach swego dziennika

W miesiącu Marcu 1882 roku,
obchodzono Jubileusz ś.p. Ojca naszego Bohdana
Zaleskiego. Przy wręczeniu mu, przez Delegacyję
przybyłą z Paryża, listów i telegramów z
przeróżnych dzielnic Kraju i obczyzny przesłanych,
Ojciec nasz z rozczuleniem najgłębszem dziękował
za życzliwość i pamięć. W dniach następnych,
mawiał często iż należy szukać właściwego
sposobu ku odezwaniu się z najserdeczniejszem
dziękczynieniem do łaskawców znajomych i
nieznajomych. Nasunięta myśl wydrukowania
kartki z nadmienieniem nazwiska i pobieżnemi
wyrazami wdzięczności odrzucił, jako zbyt
suchą i niestosowną. Nadeszły dnie ciemne,
niedomagania i brak sił: kilka miesięcy
upłynęło, po których Ojciec każdemu z nas
powtarzał: "Zapóźniłem się z odpowiedzią; czas
ku temu już minął. Chyba po śmierci
podziękuję." [Będzie to razem i pożegnanie] I w rzeczy samej, w spuściźnie
po nim pozostałej, pierwsze pismo które
nam wpadło pod oczy, była ćwiartka mieszcząca
zadawnione podziękowania za pamięć Jubi=
leuszową, w formie listu do Rodaków.
Dosłowną kopię tego listu dołączamy,
w nadziei że W. Pan osądzi za stosowne
umieścić to pożegnalne słowo w szpaltach
swego dziennika.

Jako pożegnalne i dziękczynne słowo poż.

Télégramme.

Reçu de ______
fil ______ à ______ h. ______
L'Employé,

Indications de service.

Place du timbre à date.

VERSAILLES CENTRAL 10 AVRIL 92 SEINE-ET-OISE

RÉEXPÉDIÉ à ______
fil ______ à ______ h. ______
L'Employé,

18

Pour Villepreux de Paris N° 99/93 Mots 26 Dépôt le 10/4 à 10 h. ______ m. du m

Télégraphe restant Mme Otkiczye
Villepreux Seine et oise

Prière d'envoyer immédiatement à l'école polonaise pour ovation au théâtre polonaise ce soir grand portrait de Bohdan

Duchinska

Janvier 1881. — Modèle n° 325.

Coller ici la partie de la bande Hughes portant collationnement de la dépêche.

Octobre 1881. — Modèle 335.

L'État n'est soumis à aucune responsabilité à raison du service de la correspondance privée par la voie télégraphique. (*Loi du 29 novembre 1850, art. 6.*)

N° ________ Mots ________

Date ________ heure ________

Indications spéciales : ________

Taxe ________

TÉLÉGRAMME.

Place du timbre à date.

Transmis ________ 19

Fil n° ________

Heure ________

L'Employé :

Docteur Okinczyc

Villepreux

Pour Duchinska Lemberg envoya 24 adresses ~~et 64~~

Un mot affai

Duchinski

Adresse de l'Expéditeur : Duchinski 54 Boul^d^ St Michel

Décembre 1881. — Modèle 33

20

N° ________ Mots ________

Date ________ heure ________

Indications spéciales : ________

Taxe ________

TÉLÉGRAMME.

Place du timbre à date.

Transmis à ________

Fil n° ________

Heure ________

L'Employé :

Autriche Lemberg

Franciszek Waligorski Professor

Dziekuje zauczczenie niezasluzone

Blogoslawie mlodziez szkolna

3

Bohdan Zaleski

Villepreux (Seine & Oise)

Adresse de l'Expéditeur : ________

Osoby które najczynniej dopomogły mi do zbierania adresów.

Paryż.

Panna Julja Jabłonowska.
pan Ludwik Dygat.
p: Wacław Gasztowtt.
p: Apolinary Plucinski.
Franciszek Duchinski

Londyn

pan Szulczewski.

Florencja

Teofil Lenartowicz.

Szwajcarja

Państwo Miłkowscy.
Hr. Władysław Plater.

Kraków.

panna Zofia Jabłonowska

pani Jerzmanowska

panna Stojowska

Doktór Kopernicki

Lwów.

Panowie Józef i Tadeusz Zielińscy

Hr. Włodzimierz Dzieduszycki.

profesor Małecki

pan Sawczyński członek Rady wychowania

p: Platon Kostecki.

Panna Machczyńska

Poznań.

panna Teresa Radońska redaktorka Dwutygodnika.

p. Dobrowolski redaktor Dziennika poznańskiego

profesor Motty

państwo Karpińscy ze Śremu — rodzice pani Działowej

panny W…

pani Ko…

panna …

A. E. Odyn…

Drożyna …

Pani Lud…

pani Za…

Pani …

pani …

J. K. G…

Adam…

pani …

Dr. Jan…

pani …

pani …

...nowska

...a

...deusz Żulińscy

...zedwszystki.

...i

...estonek Rady wychowania

...ki;

...ska

...

...wniczka redaktorka Dwutygodnika.

...redaktor Dziennika Poznańskiego

... ze Szrenu - Rodzice pani
Dzyatowej -

Sandomierz -

panny Wanda i Emilia Brandt -

pani Końcykowska.

panna Leśniewska.

Warszawa -

A. E. Odyniec.

Drotyma -

Pani Ludwika Gorecka z Lindów.

pani Zarzycka.

Pani Bogk -

pani Leska.

J. K. Gregorowicz

Adam Pług.

pani Brandska -

Dr. Jan Wisłocki.

pani Lewocka -

pani Maryja Ilnicka

23

KRONIKA
RODZINNA

Wychodzi dnia 1-go i 15-go każdego miesiąca.

№ 7.

dnia 1 Kwietnia 1882 roku.

T R E Ś Ć:

WARSZAWA.
W DRUKARNI NOSKOWSKIEGO,
ulica Mazowiecka Nr. 11.

1882.

Józefowi Bohdanowi Zaleskiemu
redaktorka Kroniki Rodzinnej

DO JÓZEFA BOHDANA ZALESKIĘGO

na ośmdziesiątą rocznicę urodzin 1882 r.

Drogí Bohdanie mój! osiemdziesiątkę
Lat wieku twego, gdy dziś naród cały,
Z czcią i miłością, święci jak pamiątkę
Obywatelskiéj i wieszczéj twéj chwały:
Ja też pozdrawiam ciebie, ja ostatni
Z mnogiéj tak niegdyś drużyny twéj bratniéj,

Gdyś po Adamie piérwszy wieszcz narodu,
Arfę Bojana otarł z wieków pleśni,
I duchem jego natchniony od młodu
Zagrał nam nutę ukraińskiéj pieśni,
I jak woń stepu nad brzegami Wisły,
Tchnął w niéj na ziomków serca i umysły.

Pozdrawiam ciebie, w imie tych uroczych
Uczuć i marzeń, któreś wtedy budził;
W imie tych natchnień, i tych wieszczb proroczych,
Któremiś siebie i nas—o! nie łudził,
Nie! lecz pokrzepiał; jak dziś krzepią jeszcze
Serca rodaków twoje pienia wieszcze,

O! bo my wierzym, że Pan nie omyla
Tych, czyim ustom dał głos Swego ducha;
Spełnienia tylko niewiadoma chwila.
Ale kto z wiarą głosu tego słucha,
W żelaznéj nawet swych losów obręczy
Dostrzeże odblask Przeznaczenia tęczy.

Więc cię pozdrawiam w imie braci owych,
Coć wtedy z wiarą młodzieńczą słuchali,
I pod urokiem pieśni coraz nowych,
Ciebie samego jak brata kochali,
A tyś w uścisku ich i uniesieniu
Do coraz nowych brał siłę w natchnieniu.

Znam cię, Bohdanie! a więc wiem na pewno,
Że gdy ci naród niesie hołd uznania,
Ty myślisz o nich, i pamięcią rzewną
Liczysz ich groby po ziemiach wygnania:
A więc i wierzę, że ci będzie miły
Głos ostatniego z téj strony mogiły.

Los od pół wieku rozłączył nas obu,
Lecz serce moje, ufam, że ci znane.
Przyjaźń młodzieńczą chowam ci do grobu,
I śmieléj przez nią na sąd Pański stanę.
A nim się może spotkamy przed Sędzią,
Jako brat bratu szlę ci pieśń łabędzią.

A. E. Odyniec.

Z PRZED LAT PIĘĆDZIESIĘCIU.

Na początku roku 1882, biegnąc po „kalinowym moście” życia, przypadła ośmdziesiąta rocznica urodzin i imienin autora *Ducha od stepu*, wnuka Bojana, „czasów minionych słowika.” Tę chwilę pamiątkową uczcili nietylko otaczający skromne gniazdko poety w Villepreux za Wersalem, ale i dalsi, i dalecy jego czciciele. Warszawa, nie pozostała też obojętną w obec uroczystości Józefa Bohdana Zaleskiego. Liczne dowody czci dla sędziwego wieszcza pobiegły w dzień jego imienia w obłokach pary i iskrach elektrycznych do Villepreux. Pozostawiamy jednak opisanie téj chwili świadkowi naocznemu, korrespondentce *Kroniki* z Paryża. Zadaniem naszém jest tutaj przypomnieć krótką dobę pierwocin zawodu autora *Rusałek*, z zarania romantyczności w Polsce.

* * *

Józef Bohdan Zaleski, śpiewak uroków Ukrainy, urodził się w samém jéj sercu, we wsi Bohatyrce, w powiecie Lipowieckim, nad rzeką Sobem, wpadającą do ubóztwionego niegdyś Bohu, nieopodal od często wspominanéj w pieśniach poety Rosi, płynącéj ku Dnieprowi; nieopodal od Stawiszcz, do których w jego dumce pędzi hetman Kosiński, a które w innym jego utworze zdobywa Zgłobicki; na zachód od wielkich mogił przedhistorycznych Perepiata i Perepiatychy, których duchy wywołuje w swéj pieśni; na północ zaś od krwawego Humania, w którym trudy nauk szkolnych przebywał. Przyszedł na świat Zaleski dnia 14 Lutego 1802 roku, w dzień N. Panny Maryi Gromnicznéj według starego stylu. Ztąd też powstało rzewliwe jego na ten dzień rozpamiętywanie, w którém smutny świat życia, błogosławieństwo matczyne i spowiedź z późniéjszéj pielgrzymki, w cudną układa mozaikę. On usycha na obczyźnie, gdzie nudno i pusto i nijako przy nim; a tam w jego zakącie rodzinnym rozlegają się dźwięki nabożeństwa; tam głosy pokrewnych w hymnie ich aniołów wznoszą się w niebo od rodzinnéj ziemi; tam uwielbiona dusza jego matki podzwania razem od wspólnego łona. „Święć się

nam w sercach domowa pamiątko!" woła poeta. Ów syn zaledwo pożegnany przez matkę, gromniczne, „pogrzebowe" jéj dzieciątko, sierota od powicia, piastuje lutnię między chrześciany, buja w dumie matczyném błogosławieństwem, i służy Panu jak umie. Syn służebnicy Chrystusowéj, szatą pokory w niéj się promieni. Pamięta, że jest sierotą,—żyje jak ongi bogobojny, cichy; nieomamiony przy Chrystusie stoi, i duch więzień w bieli, wciąż się prowadzi jako dziecię imiennicy Królowéj nieba...

Słabowity od urodzenia, w dziecięcych latach oddany był Zaleski do „chaty gdzieś w gaju starego znachora," dla krzepienia chłopczyka świeżém powietrzem. Jak Kazimierz Brodziński, tak i Zaleski od wczesnego dzieciństwa chwytał młodzieńczém uchem co ptactwo przez cały dzień śpiewało w polu, co śpiewały dziewczęta „na majdanie," co mężki głos wydzwaniał „w cześć atamanów;" wszystko to mąciło się „w jedną pieśń żywą," i według własnego dobitnego wyrażenia, on pieśń tę „połknął." Rusałka, z przekazu drogiéj matki chłopięcia, piastowała dziecinę; „mlekiem dum i mleczem kwiecia poiła mdłe jego ciałko do lotu,"—i tak podobnie jak w piersiach Brodzińskiego powstała w duszy Zaleskiego pieśń, która siedmiobarwnym łukiem przymierza złączyć miała dwa serca zbiorowe: klassy ukształconéj i ludu prostego, co właśnie stanowi kardynalną, zasadniczą różnicę poezyi romantycznéj od pyszałkowatéj i zasklepionéj w odrębności poezyi klassycznéj. Tym sposobem tak Brodzińskiemu jak Zaleskiemu, nie książka niemiecka lub angielska, lecz samo życie poszepnęło pieśń nową, która czekała tylko sposobnéj chwili, ażeby się rytmem i rymem wypowiedzieć...

Okoliczności późniejsze życia nie składały się na to, żeby wykierować Józefa Bohdana Zaleskiego na poetę romantycznego. Kształcąc się u kks. Bazylianów w sześcioklassowéj szkole podwydziałowéj w Humaniu, zależnéj wtenczas od uniwersytetu wileńskiego, miał za towarzyszów Seweryna Gałęzowskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Michała Grabowskiego, Aleksandra Grozę i trzystu lub czterystu innych mniéj znanych, co dowodzi owoczesnéj wziętości szkoły i pożytku wykładanych w niéj nauk. Atoli wieść o nowym zwrocie w literaturze snadź nie zalatywała jeszcze wówczas do Humania. Dowodzą nam tego nazwiska owoczesnych przełożonych i nauczycieli szkoły: kks. Skibowskiego, Gołowińskiego, Czerniewicza, Rolińskiego, Kisielewicza, Bereżyńskiego, Leniewicza, Ortyńskiego, z których ani jeden nie zapisał się w sposób donioślejszy w historyi literatury; a wiadomo, że nowa ożywcza idea oświeca najprzód, jakby wierzchołki gór, najwynioślejsze umysły. Dowodzi tego daléj pierwsza ofiara publicznie złożona przez Zaleskiego Muzom, kiedy miał ledwo lat siedmnaście i siedział jeszcze na ławie szkolnéj w Humaniu. Było to tłómaczenie ody Horacyusza do „zdradnéj" Pirry, snadź wzięte przez wizytatora lub przesłane przez przełożonego szkoły do uniwersytetu, uznane za godne druku i ogłoszone w r. 1819 w *Dzienniku Wileńskim*, organie professorów wszechnicy. Dowodzi wreszcie kierunku klassycznego w młodocianym Bohdanie jego udanie się na nauki wyższe nie do Wilna, nawet nie do Krzemieńca, ale do gniazda klassycyzmu, Warszawy, opasanéj boalowskim ostrokołem od najazdu nowatorów, którzy się jednak z czasem wcisnąć do niéj potrafili.

Usposobienie to jednak, podobnie jak pierwotne usposobienie Mickiewicza, który nim wystrzelił *Pierwiosnkiem* i *Świtezianką*, wprzód opisywał klassycznie *Zimę miejską*, i z punktu klassycyzmu oceniał *Jagiellonidę*,—usposobienie klassyczne Zaleskiego trwało niedługo. Wyzwolony z pod przemożnego wpływu poczciwych nauczycieli humańskich, spotkawszy się w Warszawie z Brodzińskim i jego młodymi zwolennikami w uniwersytecie, mając serce przepełnione tęsknotą po stronach rodzinnych, a nieznajdując nóty na wypowiedzenie tęsknicy, od razu się przerodził duchem, i wyśpiewał *Nieszczęśliwą rodzinę*, która napisana w r. 1820, zaraz po przyjeździe do Warszawy, mogła się ukazać dopiero we dwa lata w *Pamiętniku Warszawskim*, kiedy redakcyę tego pisma po Bentkowskim objął Brodziński. Ze wspomnień klassycyzmu, podobnie jak Mickiewiczowi, zostało mu jedynie poszanowanie formy

któréj wymaganiom się nie sprzeniewierzył, którą owszem posunął do najwyższego stopnia doskonałości, niedosiężonego ani przed nim, ani po nim w poezyi polskiéj. Duch w tę formę wstąpił nowy: szczerze polski i szczerze chrześciański, dla którego piękno jest tylko szczególną formą miłości ludzi i modlitwy.

Zaraz późniéj w tymże roku 1822 i w témże piśmie Brodzińskiego ukazał się *Lubor* Zaleskiego, nazwany już wręcz romantycznie „balladą z powieści ludu," a i ztąd jeszcze dla nas ciekawy, że znajdujemy w nim pierwsze napomknienie o „srogich Rusałkach," które późniéj dostarczyły poecie wątku do jednego z najcudniéjszych jego utworów. W r. 1823, zawsze jeszcze pod skrzydłem Brodzińskiego, wykluł się na świat *Janusz Bieniawski*, tudzież *Dumka Hetmana Kosińskiego*, do któréj przygodną podnietą stał się jeden wiersz nieznajomego mu jeszcze wtedy A. E. Odyńca, w przekładzie ballady Bürgera *Myśliwiec*. Po dwuletniéj dopiero przerwie ogłosił w innéra już piśmie Zaleski swój *Śpiew poety*, będący całkowitym zbiorem przykazań jego zawodu poetyckiego. Tam to powiedział: że piękność, miłość, czucie i wiarę na ogniwo splata złote; że co ziemskie rzuca ziemi, a co niebieskie w niebo wznosi; że przyrodzenie wielbi w pieśni, a w przyrodzeniu wielkość Boga; że bierze miody jak pszczołka, i jak ona nie dla siebie je bierze. To była najprawdziwsza charakterystyka jego posłanictwa artystycznego, i kilkakrotna późniejsza próba zagrania z innéj nóty, zwykle się nie udawała poecie. Zresztą *Śpiew poety* jest jedynén z owéj epoki obrazowém określeniem zadań poezyi, jak je pojmował Bohdan Zaleski. W walki stronnicze dwóch obozów literackich, ścierających się wówczas na całéj widowni kraju, Zaleski, miłośnik pokoju, wdawać się nie chciał i wciągnąć się nie pozwolił.

Od roku 1826 do 1829 znajdujemy w czasopismach warszawskich zaledwo jeden ze słabszych utworów Zaleskiego: *Ludmiłę*, oraz niezrównaną *Dumkę Mazepy*, natchnioną czytaniem Pamiętników Paska w rękopiśmie. Dopiero w latach 1829 i 1830 Zaleski jakby z rękawa wytrząsa kwiat po kwiecie do *Meliteli* Odyńca. Zjawiły się w niéj po raz pierwszy niedościgłe pod względem fantazyi i wdzięku *Rusałki*, daléj dziarski *Poranek starego myśliwca*, *Śpiewające jezioro*, *Czajki*, *Trzeci szturm do Stawiszcz*, i wreszcie *Śpiewak w obcéj stronie*. Widzimy z tego ostatniego, że po latach dziesięciu pobytu w Warszawie i stronach tutejszych, poeta w dzieciństwie pojony lubystkiem na młodziku, nie mógł się do tych okolic nazwyczaić, bo „wiecznie w jedną gdzieś stronę zaczarował swe pieśni.'' Marzenie, że matka Ukraina mogłaby wpaść na domysł i wyszukać mu Laszkę, skoro on „lgnie do Laszek,"—przyszło późniéj, gdy już tęsknił jednocześnie do brzegów Rosi i Wisły...

*   *   *

Listy, które pozwolono nam ogłosić, wszystkie, prócz jednego, należą do zakreślonéj powyżéj epoki pobytu Józefa Bohdana Zaleskiego w Warszawie i na prowincyi w Królestwie, epoki poświęconéj kształceniu się własnemu i kształceniu innych; strojeniu idealnego kozackiego teorbanu; braniu pierwszych na nim akkordów i zagraniu pierwszéj doniosłéj nóty, która z niziny Warszowego grodu odbiła się dźwięcznéin echem o skalise Porohy dnieprowe, o lesiste grzbiety Ponar i nagie wierzchołki Tatrów. Pierwszy z tych listów pisany był z Warszawy przez A. E. Odyńca do Ignacego Chodźki, w Dziewiętniach za Oszmianą, wnet po zabraniu znajomości z Zaleskim; inne wyszły z pod pióra Zaleskiego po jego wyjeździe na prowincye i były adresowane do Odyńca przebywającego naówczas w Warszawie. Listowanie urwało się przez wyjazd Odyńca z Mickiewiczem w podróż po Europie, późniéj zaś wznowione miało już inny charakter i należy do innéj epoki.

List Odyńca do Chodźki, datowany dnia 14 Grudnia 1825 roku, opisuje pierwsze wrażenie ze spotkania się z Zaleskim, którego dumkę o Kosińskim autor listu poznał był wprzódy siedząc jako filaret u Karmelitów przy ulicy Ostrobramkiéj w Wilnie. Słowa listu są następujące:

„Mój drogi Ignacy! Jak obiecałem, donoszę natychmiast, że się już poznałem z Bohdanem, i to nietylko poznałem, ale i pokochałem od razu. Dowiedziawszy się o adresie, poszedłem wczoraj do niego sam jeden. Z bijącém sercem zapukałem do drzwi. Pisał coś stojąc przy prostém niemalowaném biurku, w króciutkim

jakimś szarym surduciku. Postrzegłszy nieznajomego, pytał zda się wzrokiem: co powiem? Ale zaledwo powiedziałem kto jestem, rzucił pióro, i wyciągając ręce, powitał takiém mimowolném: „A!” — jakbym naprzykład ja ciebie, gdybyś niespodzianie wszedł do mnie. Miły, dobry, kochany, prawdziwy filarecki kolężka! To też wie o nas wszystko, jak nikt z Warszawian. Rozpytywał się najtroskliwiéj o Adamie, o Olesiu, o Juljanie, a ja mu opowiedziałem o tobie, jak płaczesz deklamując: „Świat omamień mych pomału,” i jak go kazałeś pozdrowić za pierwszém z nim spotkaniem. Kontent był, i nawzajem pozdrawia cię serdecznie. A podziękowałem mu też, jak miałem, za tę uroczą chwilę w Karmelickim klasztorze, jakiéj doznałem po przeczytaniu „Dumki o Kosińskim.” Zaczął śmiać się i odpowiedział, że powinienem najprzód podziękować sam sobie. Nie rozumiałem—a więc mi opowiedział, że napisał ją pod wrażeniem i w ślad po przeczytaniu mojego „*Myśliwca,*” i że początkowe *hop*, *hop*! jest właśnie odbiciem strofy: „I hop, hop, hop, rumak skory...” Siedziałbym u niego nie wiem jak długo, tak mi było dobrze i miło, gdybym nie musiał iść na proszony obiad. Alić dziś ledwo wstałem, on sam wchodzi do mnie, ubrany elegancko, we fraku, bo i ja tak byłem u niego, idąc właśnie na proszony ów obiad. Byliśmy już dzisiaj nawzajem, jak nie wiedzieć odkąd znajomi. Powiedział mi, że miejscowych warszawskich literatów nie lubi, a żyje tylko z Brodzińskim i Witwickim, którzy także nie są z Warszawy. Z tym ostatnim chce mnie zaznajomić koniecznie, bo Brodzińskiego wie, że już poznałem. W nim samym ani cienia fumy literackiéj, którą w tutejszych laureatach dostrzegam. Szczery, prosty, serdeczny, ożywiony w rozmowie; śmieje się głośno, ręką pocierając włosy; słucha z zajęciem, opowiada z uczuciem; znać, że nie pamięta o sobie. Jedném słowem prawdziwy filaret, to też i kocham go jak filareta...—A teraz co do postaci: niższy nieco odemnie; blondyn; żywy, zgrabny, ruchliwy; wzrok i uśmiech łagodny, twarz pełna życia i pociągająca. Jak wewnątrz tak i zewnątrz poeta!...”

Pierwszy list Zaleski napisał dnia 19 Listopada 1826 roku z Rawy, dotąd wyjechał był z Warszawy z małym synem generała Piotra hr. Szembeka, udającym się za ojcem w jego wędrówce służbowéj. Na adresie czytamy, iż Odyniec mieszkał naówczas w Warszawie przy ulicy Senatorskiéj, w pałacu Zamojskich, co przypomina znane z epigrammatu patrzanie w ogród Saski. Wspominany w tym liście Jeżowski był jednym z najbardziéj utalentowanych uczniów Grodd-ka i kommentatorem pisarzy klassycznych. W chwili pisania wzmiankowanego listu znajdował się z Mickiewiczem w Moskwie. List Zaleskiego brzmi w te słowa:

„Kochany Edwardzie! Podchorąży, który był u ciebie, nie zrozumiał mnie i zrobił wszystko inaczéj niż chciałem. Nie odebrał mego listu od kapitana Żarskiego, a po książki zamiast do Czachowskiego, poszedł do ciebie. Starałem się nieporozumienie sprostować, i dla tego pisałem dziś do Warszawy, aby ci natychmiast list odesłano; do ciebie zaś piszę choć tych kilka wyrazów, abyś nie sądził, że milczę naumyślnie. Widzisz tedy, żem nic niewinien. Podziękowałem ci już i za pamięć twoję, i za list Jeżowskiego, i za przypisek Mickiewicza, i za wszystko. Chciałem więc zacząć literacką dysputę, aby czémś list swój zapełnić, ale natychmiast odchodząca poczta nie dozwala mi uiścić najszczerszéj chęci. Donieś mi co z nowin literackich. Czy stanęła jaka ugoda z księgarzami względem dzieł Mickiewicza? Czy powrócił czcigodny nasz Lelewel? Co robisz? co jest w ostatnim numerze Dziennika? i t. d. Nieskończenie mnie zobowiążesz, jak mi pożyczysz obu tomików Mickiewicza i dasz swój drugi, bo mój egzemplarz zalega u panny Róży. Masz gotową okazyę do Rawy, tylko list i książki odeszléj Witwickiemu. Żukowski od niego zabierze i we środę przyjedzie do Rawy. Ściskam cię najserdeczniéj etc.”

List drugi pisany także z Rawy dnia 18 Lutego 1827 roku, wzmiankuje o chwilowym pobycie Zaleskiego w Warszawie, o czém obszerniéj w następnym liście, tudzież ratuje autora i Rawę od najazdu kolonii romantycznéj warszawskiéj, mianowicie Odyńca i Witwickiego. Brzmi jak następuje:

„Kochany Edwardzie! Dziś przyjeżdżam do Rawy, i dziś na prędce przez odchodzącą pocz-

tę piszę do ciebie. Smutno mi bardzo, żem was tak nagle opuścił. Zdaje mi się, że kilka chwilek wesołych z wami spędzonych snem tylko było, tak nieprzyjemnie powrót do Rawy i do zwyczajnych zatrudnień pomieszał wszystkie omamienia. Jestem wam nieskończenie wdzięczen za chęć odwiedzenia mnie w Rawie. Chcę jednak być szczerym, i otwarcie wyznaję, że nie mogę was tu przyjąć tak, jakby mi nakazywały moje serce i gościnność, jakbym was przyjął w każdém innémm mieście. Ja tu żyję samotnie. Z nikim prawie nie mam ściślejszych związków. Moglibyście się zatém prócz kosztów podróży znudzić porządnie. I dla tego postaram się, abym się z wami widział jeszcze w Warszawie. Oto masz moje wyznanie. Umiej zręcznie odwieść twoich towarzyszów od wykonania zamiaru, nie narażając w niczém twego prawdziwego przyjaciela. Listu nie pokazuj nikomu, najlepiéj spal. Przez następną pocztę nowy odbierzesz."

List trzeci, pisany bez wymienienia miejsca, ale także jak dwa pierwsze z Rawy, był wysłany we cztery dni po poprzednim, 22 Lutego 1827. Uderza w nim sąd Zaleskiego o *Sonetach* Mickiewicza, niedawno przedtém ogłoszonych w Moskwie. Romantycy słusznie się lękali o los kilku pierwszych sonetów miłosnych, zbyt namiętnych i zbyt może ryzykownych w wyznaniach, cieszyli się jednak, że ten grzech egotyzmu z naddatkiem opłacają sonety krymskie. Stało się jednak przeciwnie, bo cały gniew klassyczny spadł właśnie na sonety krymskie. Godzi się też zwrócić uwagę na owoczesny sposób rozpowszechniania książek, dziś prawie już niezrozumiały. Mickiewicz posyła Mikołajowi Malinowskiemu z za granicy do Wilna „stadko sępie," to jest poezye Sępa Szarzyńskiego, wydane przez Muczkowskiego w Poznaniu; zaleca je rozprzedać między znajomymi, a gdyby tego nie zdołał, zapłacić za nie z własnego funduszu Mickiewicza. Zaleski w tymże celu dopomina się o egzemplarze poezyj Mickiewicza; ale za wiele rachował na Rawian, bo późniéj połowę egzemplarzy odsyła na powrót do Warszawy. Z tego widzimy, że romantyzm nie z samymi klassykami toczył walkę; że groźniejszą od pukawek papierowych była obojętność ogółu, który zmuszać należało do czytania. Oto zresztą własne wyrazy Zaleskiego:

„Jak wiatr bez śladu, bez znaku, przewinąć się, pokręcić po Warszawie i zniknąć!... Nie prawdaż kochany Edwardzie, że żyję poetycznie? Wszelako dotychczas mi jeszcze smutno, żem was tak na krótko widział i tak nagle pożegnał. Cóż robić? musimy nawykać do ciągłéj zmiany wrażeń i uczuć. Jestem znowu w Rawie. Siedzę przy stoliku zadumany o moich stepach, i żyjącemi imaginacyi marami zaludniam głuchą dokoła samotność. Mógłbym się tu bawić jak inni, ale powszednia rozrywka, jak powszednie życie, nie zawsze dla każdego wystarcza. Ja potrzebuję daleko żywszych, daleko mocniejszych roztargnień. Czczość życia najlepiéj ideałami zastąpić. Czytałem kilkakrotnie nowe poezye Mickiewicza. W kilkunastu początkowych sonetach, mimo więzów bardzo niewdzięcznego wiersza, widać jak najjaśniéj to wzniosłe, egzaltowane jego własne pojęcie miłości, które mu niegdyś *Dziady* natchnęło. Krymskie są może jedyne w literaturze europejskiéj. Prócz wielu pięknych myśli, prócz bajrońskiego charakteru pielgrzyma, wspaniałą już samą przez się naturę Tauryki uolbrzymia nasz poeta obrazami kolorytu prawdziwie wschodniego. Gdybyś nie wiedział, ile szacuję i kocham Adama, posłałbym ci świetny panegiryk jego talentu, tyle mnie dzisiaj zachwyca. Ciekawy jestem, z jakiego stanowiska Mochnacki je osądzi? Na nic tu estetyka, to świat wcale nowy. Przyszlij mi to, co o nim napisze Mochnacki. Co do kilku sonetów, na któreś tak utyskiwał, te trzeba bez ratunku poświęcić na pastwę klassykom. Dla wielbicieli jego talentu wystarczą same już krymskie. Przebaczy mu chętnie chwilowe zapomnienie się każdy, kto tylko badał i pojął tę smutną moralną prawdę, że ciągle wzniosłe, nieziemskie uczucia, geniuszu nawet nie są stałą dziedziną. Jest nie wiem w sercu, czy umyśle naszym jakaś dziwaczna i szyderska władza, co wprost rozmiata najpiękniejsze twory natchnienia i niejako musem spycha nas z nieba omamień na poziom bezplennéj i zimnéj rzeczywistości... Zapomniałem, że list piszę, i że nie pisuję nigdy długiego. Mój Edwardzie, przyszlij mi jakeś obiecał dwadzieścia egzempla-

rzy *Sonetów*, prędko tu je rozprzedam. Czcigodnemu Lelewelowi nie zapomnij dać jeden egzemplarz w zamian za ten, który u niego wziąłem. Przyszlij mi teraz bilet na poezye Kułakowskiego, tudzież poemat Puszkina i pozwolony przez Lelewela Nr. *Telegrafu*. Wszystkie tę książki dobrze opieczętuj i czekaj aż je od ciebie zabierze Edward Bieliński, officer inżynierów, mój ziomek i przyjaciel. Juljana Korsaka najserdeczniéj ode mnie ucałuj i oświadcz, że zachowam na zawsze wdzięczną pamiątkę za dowody przyjaźni i pochlebne słowa, jakiemi mnie podczas bytności mojéj w Warszawie zaszczycał. Uściskaj także Ordyńca i przypomnij, że obiecał do mnie pisać. Zresztą wyglądam na literackie z Warszawy nowiny. Wszystkim znajomym oświadcz ukłony, i nie martw się Florą romantyczną."

List czwarty z Rawy 26 Marca 1827 roku, dobitnie maluje stanowisko Zaleskiego w obec spierających się stronnictw:

„Kochany Edwardzie! Przez jutrzejszą pocztę miałem już niezawodnie napisać do ciebie, gdy tymczasem dziś mnie uwiadamia Żukowski, że natychmiast wyjeżdża do Warszawy i chce ci sam wręczyć list ode mnie. Korzystam na prędce ze sposobności i zasyłam ci jak najprzyjaźniejsze pozdrowienie. Żem nie napisał do ciebie wcześniéj, winny temu mój Edwardzie, *Sonety*. Chciałem ci za nie jak najśpieszniéj odesłać pieniądze, ale dama, która się podjęła sprzedaży na prowincyi, dotychczas mnie nie uwiadomiła ile rozkupiono egzemplarzy. Czekałem tedy i wstrzymałem się z listem. Cokolwiek jednak bądź, wyjeżdżający około czwartku do Warszawy nasz płatnik półkowy przywiezie ci należące się za *Sonety* pieniądze. Stendhala nie posyłam, bo dotąd nie wrócił z pożyczki. Byron zamówiony, ale ponieważ do téj pory nie przychodzi, widać, że go nie mają księgarze wrocławscy, musicie więc poczekać aż sprowadzą z Lipska albo z Berlina. Mogę jednak zaręczyć, że prędzéj lub późniéj nadesłany wam będzie. Cóż tam kochany literacie, dzieje się na waszym burzliwym świecie? Jaki jest obecnie stan umysłów? czy się co przecię ustala? albo też ta sama zawsze anarchia? Jakie interesa występują? jakie przemagają mniemania? która wreszcie sekta panuje? i t. d. Donieś o wszystkiém odludkowi, który nawet gazet waszych nie czyta. Udarowany od natury wysokim stopniem obojętności, nie będę zapewne nigdy walczył pod chorągwiami któregolwiek stronnictwa, ale powinienem znać zewnętrzne okoliczności, wpływające współcześnie na dobro lub szkodę literatury krajowéj. Kto wie, jeśli mi kiedy nie przyjdzie być historykiem obecnéj reformy literackiéj? a wtedy tém łatwiéj, tém bezstronniéj potrafię skreślić jéj obraz, że sam nie działałem czynnie, ale czujnie na wszystko i na wszystkich baczyłem... Mój Edwardzie! tylem ci za jednym pociągiem pióra zrobił zapytań, że gdybyś tylko odpowiedział na jedno, już więcéjbyś uczynił, niż krótka moja z tobą zażyłość ma prawo wymagać. Zresztą donieś mi zwyczajnym sposobem o wszystkiém po krótce, a i tak będę nieskończenie obowiązany. Juljana Korsaka uściskaj i oświadcz mu, że najmiléjby mi było zawiązać z nim korrespondencyę. Czekam tylko na pierwszy krok ze strony jego i na wiadomość dokąd mam adresować do niego listy. Życzę sobie czytać dumę Gosławskiego o Niczaju. Czybyście jéj nie mogli dla mnie przepisać? Bo gazety, dzienniki czytać dopiero myślę w obozie. Wystaraj się dla mnie o dwa tomiki poezyj dawniejszych. Ja już cztery kupiłem egzemplarze, ale mi zawsze kobiety zabrały. Te chcę mieć jedynie dla siebie. Jak masz co nowego, to przyszlij mi także. Przypominam o bilet na poezye Kułakowskiego. Czcigodnemu Lelewelowi zasyłam ukłon. Robertson'a za kilka dni odbierze. Mochnackiego i Ordyńca ściskam i pozdrawiam. Całuję cię jak najserdeczniéj."

List piąty z Rawy, pisany znowu 1 Maja 1827, wzmiankuje o rówienniku Zaleskiego i Odyńca, późniejszym Dyrektorze Instytutu Panien w Białymstoku Ignacym Kułakowskim, ówczesnym też pracowniku romantycznéj niwy. Przedewszystkiém zaś opowiada dzieje sprzedaży w Rawskiém *Sonetów* Mickiewicza, w ćwiartkowém wydaniu moskiewskiém, obecnie przepłacaném przez lubowników rzadkich książek, zwłaszcza jeżeli ma przy sobie dwie grube karty litografowane z tłómaczeniem „Widoku gór ze stepów Kozłowa" na język arabski, przez pro-

fessora uniwersytetu petersburskiego, Topczego baszę. Oto jak te sonety przyjmowano:

„Kochany Edwardzie! Posyłam ci 10 niesprzedanych egzemplarzy *Sonetów*, a za drugie 10 pieniądze, t. j. 12 rubli srebrnych. Jużbyś je był dawniéj odebrał, gdyby jeden z moich, któremu ten interes poruczyłem przed wyjazdem w Krakowskie, nie zwlókł go dotychczas. Drugich 10 egzemplarzy nie mogłem wcale rozprzedać. Z małéj tu liczby czytających, jedni nabyli je pierwéj w Warszawie, drudzy u mnie, a reszta żywi się pożyczaniem. Donieś mi jak się masz? Co słychać o Adamie? Czy pisał do ciebie? Spytaj się Mochnackiego czemu dotąd nie odpisał na list mój? Czy list pod jego adresem przyłączony oddał Lelewelowi? Bądź także u Lelewela i spytaj, czy nie zechce do mnie kilku słów napisać? Jeśliby ci dał jakie książki, opieczętuj i oddaj Chotomskiemu, w jednym z tobą mieszkającemu domu. On miewa częste sposobności do Rawy. Całuję cię serdecznie etc."

List szósty, pisany z Sochaczewa 25 Listopada 1827 r., przekonywa, że były jeszcze inne, których czas czy też zbyt ciekawy urząd pocztowy nie oszczędził:

„Kochany Edwardzie! Aż do dnia dzisiejszego spokojnie oczekiwałem odpowiedzi twojéj na list mój jeszcze d. 5 b. m. posłany do Warszawy. Zaczynam się jednak obawiać, czy nie zaginął na poczcie. Dla tego co prędzéj posyłam ci rewers powrótny pocztamtu warszawskiego, na którym w imieniu twojém podpisał się jakiś Krawczyński. Jeśli nie znasz tego jegomościa, pójdź natychmiast do Widulińskiego, aby ci kazał list mój wyszukać. Takie rzeczy nie powinny się dziać bezkarnie. Po wyszukaniu listu bądź łaskaw napisz do mnie zaraz. Przy liście były: *Legenda* Grabowskiego i *Fantazya* Kozłowa. Przeproś za zwłokę Ordyńca. Proszę o nowiny literackie. Całuję cię serdecznie."

List siódmy, pisany z Sochaczewa 30 Marca 1828 r., prócz trafnych uwag o hegzametrach Mickiewicza w „Powieści Wajdeloty," zawiere wzmiankę o poezyach Józefa Massalskiego, jednego z prawdziwie utalentowanych pisarzy romantycznych wileńskich. Poezye te wydane w r. 1827 w Wilnie, całkiem niezasłużenie przysypała późniéj kurzawa niepamięci:

„Kochany Edwardzie! Dziękuję ci za twoją pamięć o mnie i za przyjacielskie życzenia. Czytałem—czytałem *Wallenroda* razy najmniéj dziesięć od deski do deski. Długiego trzeba listu do ocenienia wszystkich piękności w tém arcydziele Mickiewicza zawartych. Właśnie w tym przedmiocie pisałem onegdaj obszernie do Grabowskiego. Nie chcę tu powtarzać litanii pochwał, my bowiem wkrótce będziemy mogli ustnie o *Wallenrodzie* pomówić. Co do hegzametrów, nie są to takie jak innych narodów, ale takie jakie w naszym języku mieć możemy. Mickiewicza są łatwe, pełne, rozmaite. Szkoda tylko, że urojenia Królikowskiego, mianowicie co do jednozgłoskowych wyrazów, brał często Adam za dobrą monetę. Ztąd to postrzegać się dają: czasem chropowatość, czasem wątpliwość, a niekiedy i zupełnie fałszywa miara. Akcent i prozodya, rzeczy wcale różne. Ale nasz wielki kochany poeta, niedosyć zastanowił się nad tą różnicą. Dziękuję ci za nowiny literackie, ale mój Edwardzie częściéj mi je przesyłaj. We środę lub we czwartek po Wielkiéjnocy odbierzesz od Witwickiego pakę z książkami. Bądź łaskaw odeszlij ją do czcigodnego Lelewela. Proś także o egzemplarze poezyj Massalskiego i zapłać za mnie. Bądź zdrów kochany Edwardzie!"

List ósmy, datowany z Sochaczewa 4 Listopada 1828, mówi o *Meliteli* Odyńca i przeznaczonych dla niéj *Rusałkach*. Późniéj zjawiły się w tym „noworoczniku" i inne poezye Zaleskiego. Samo wydawnictwo jest wielce ciekawe z tego względu, że jednoczyło w sobie najznakomitsze imiona tak obozu romantycznego, jak i klassycznego. Obok Mickiewicza był tam Niemcewicz, obok Zaleskiego Morawski, obok Korzeniowskiego Woronicz i t d. Zaleski troskliwy o pierwsze wrażenie swoich *Rusałek*, trzymał je pod kluczem w sposób poniżéj opisany:

„Kochany Edwardzie! List twój pisany do mnie z Litwy dopiero 18 z. m. odebrałem od p. Lelewela, a ponieważ na 1 Listopada miałeś powrócić do Warszawy, za późno już było posyłać odpowiedź. Dziś wyjeżdżając na miesiąc w Krakowskie, piszę na ręce Witwickiego, bo nie wiem czy cię list mój zastanie z powrótem. Poezya przyrzeczona do almanachu leży gotowa w Sochaczewie. Nie chcę, aby chodziła po rę-

ku przed wydrukowaniem, i dla tego nie posłałem do Warszawy. Sądzę przytém, że się już nie uwiniesz z rycinami i drukiem almanachu przed nowym rokiem, i że zawiesisz projekt do czasu. Wierzaj mi kochany Edwardzie, nieźle to będzie. Wszystko jedno czy almanach wyjdzie zimą, czy na wiosnę, a zyska i pod względem wartości przedmiotów, i pod względem zewnętrznych ozdób. Jeśli potrzebować będziesz moich wierszy, napisz do Sochaczewa list pod moim adresem, a na odwrótnéj stronie wyraź swoje nazwisko. Osoba odbierająca moje listy z poczty, uskuteczni twoje żądanie. Niech ci Witwicki udzieli swoich myśli względem almanachu; mówiliśmy już o tém. Powtarzam jednak kochany Edwardzie, że lepiéj zrobisz jeżeli się z drukiem wstrzymasz do wiosny... Pozdrawiam cię z podróży etc."

Ostatni list Zaleskiego, który tu dla ciągłości dziejów *Meliteli* zamieszczamy, przedzielony jest od poprzedniego niemal ośmiu latami czasu. Odyniec podówczas mieszkał w Dreznie, i zabierał się do wydawania dalszych zeszytów *Meliteli* w Lipsku. Dowiadujemy się tu o zatracie wielu poezyj Zaleskiego, i o nowym podówczas na krosnach znajdującym się wielkim poemacie, który snadź pozostał nieukończony, lub w inny kształt ujęty rozpłynął się w tęczowe barwy lirycznego *Ducha od stepu*. Nie śmiemy ani się dopytywać, ani zgadywać. Lecz oto własne wyrazy Zaleskiego, pisane 2 Września 1836 r. z Molsheimu pod Wogezami, niedopodal Strasburga:

„Kochany mój Edwardzie! Kopa lat, jakeśmy się pożegnali w Warszawie. Od tego czasu w różnych kolejach naszéj pielgrzymki nie zdarzyło się nam nigdzie spotkać. Pokąd mieszkałem w Paryżu, prosiłem zawsze wspólnych przyjaciół: Adama, Stefana i Żegoty, aby w listach swoich pozdrawiali cię odemnie. Nie wiem czy pamiętali, ale sądzę, że i bez tego wierzysz niezmiennéj mojéj życzliwości dla ciebie. Wczoraj przysłał mi Stefan list z prośbą, abym także załączył co swego do nowéj *Meliteli*. Przyznam ci się, że kilka lat w smutkach publicznych nie mogłem nic pisać. Od roku blizko pracuję nad wielkim poematem, w 3-ch lub 4 tomach, który da Bóg zacznę drukować z wiosną. Ma się rozumieć, że nie chciałbym téj rzeczy marnować urywkowo przed czasem. Rapsody i drobiazgi, jakie miałem, wrzuciłem dawno do pieca. Byłem więc w niepospolitym kłopocie. Wyratował mię brat i towarzysz mój w Molsheimie, który zachował niegdyś przed pożarem kilka moich świstków. Proste i błahe, ale do almanachu się przydadzą. Nie mam już bowiem pretensyi podobać się *płci pięknéj*. Zapewne przeszłego roku posłał ci Stefan mój urywek pod tytułem *Umarli*. Dołączam jeszcze drukowany przekład z Szyllera, który śmiało możesz przedrukować, bo najwięcéj 20 lub 30 egzemplarzy rozeszło się, i to po emigracyi. Mniemam, że to wszystko złoży dostateczny nabój dla publiczności lwowskiéj. Na przyszły rok, wolny od głównéj pracy, postaram ci się usłużyć czémś lepszém. Mam także cały tom poezyj słowiańskich, czyby tego się nie udało sprzedać we Lwowie? Zaręczam, iż lepsze od wszystkich moich dotychczasowych wierszy... Albo daj pokój Edwardzie, nie pytaj się księgarzy lwowskich o moje poezye słowiańskie. Może mi się uda sprzedać Jełowickiemu. Przypomniałem sobie, że musi je poprzedzić biografia Kazim. Brodzińskiego; tego cenzura lwowska nie pozwoliłaby wydrukować... Będę cię późniéj prosił o kupienie kilku książek do historyi słowiańskiéj, ale to późniéj. Gdybyś chciał kiedy do mnie napisać, adresuj: a M. Scherz a Kehl (Gr. Duché de Bade), a wewnątrz na kopercie: B. Zaleski. Jakże ty się masz? co porabiasz kochany Edwardzie? Adam wciąż w umartwieniach i kłopotach domowych, ale wiesz zapewne o tém zkądinąd. Ściskam cię najserdeczniéj i pozdrawiam twoję nieznajomą mi rodzinę...."

* * *

Na powyższém wspomnieniu o pobycie Józefa Bohdana Zaleskiego nad Wisłą przerwać musimy. Wśród jakich okoliczności powstały na obcéj ziemi: *Przenajświętsza Rodzina* i *Hymn Św. Kazimierza*, *Lach serdeczny* i *Podzwonne ku ojcom*, *Smutna Krakowianka* i *Stepowa mogiła*, setne dumki, szumki i pyłki,—to już ktoś inny, lepiéj świadomy niech opowie. Ten ktoś także niech opowie bolesne dzieje dwóch wesołych piosneczek: „Słowiczku mój!" arcy-

dziele wieszczego Adama i „Kto? z jakich stron?" rozważnego Bohdana. Ten ktoś także niechaj się dowie od Bohdana i obwieści, jakie to ziele dał mu „znachor z pod kalinowego" gaju na nieśmiertelną młodość ducha? Bo oto, jakie wyrazy ośmdziesięcioletniego autora *Rusałek*, zwrócone do innego również ośmdziesięcioletniego młodzieńca duchem, Ignacego Domejki w Chili, czytamy w najnowszém wydaniu lwowskiém poezyj Zaleskiego:

„Żegoto! wciąż nam zielono się marzy...
Doprawdy nigdy my nie będziem starzy,
Dopokąd pijem z onéj żywéj wody,
Odmładzającéj ludzie i narody..."

W. Korotyński.

Wyjątek z listu z Paryża.

Do Redakcyi Kroniki Rodzinnéj.

Pani Seweryna Duchińska w liście z Paryża 21 marca, z którego przytaczamy tu wyjątek, tak opisuje obchód imienin i rocznicy urodzin poety w Villepreux, miejscu obecnego jego zamieszkania, w Niedzielę 19 marca.

„Dzień był prześliczny, prawdziwie wiosenny, słońce nie przyćmione najlżejszą chmurką. Wyjechaliśmy z Paryża w samo południe, w liczbie kilkunastu osób, do wioski Villepreux, położonéj za Wersalem pod Saint Cyr, w pięknéj i wesołéj okolicy. Zabrałam garstkę dzieci i dorastającéj młodzieży, aby dać poznać Bohdanowi, że pamięć jego przejdzie w następne pokolenia; co on téż wybornie zrozumiał i żywo odczuł. Po piérwszéj przybyliśmy na miejsce. Z wielką radością ujrzałam Bohdana w jak najlepszém zdrowiu. Cera jego biała, świeża; lekki rumieniec ślicznie odbija obok śnieżnych włosów i białéj, długiéj do pasa brody. Barki wcale nie pochylone; dosyć szczupły, chodzi żwawo i lekko; skarży się tylko na przytępienie słuchu, a bardziéj jeszcze na zachodzące mgłą oczy. Gdyby nie to, niktby nie odgadł ciężących na nim lat ośmdziesięciu. Pamięć zachował wyborną, wielką świeżość wyobraźni i sposób mówienia płynny, łatwy i prawie młodzieńczy. Otoczyliśmy jubilata. Wtedy podałam ogromne album w rękę młodego Ludwika Goreckiego: „Niechaj wnuk Mickiewicza, rzekłam, złożyć u stóp Bohdana hołdy ze wszystkich części kraju." To połączenie dwóch drogich narodowi imion, głęboko poruszyło obecnych i wycisnęło łzy z oczu solenizanta. Karta piérwsza pod okładką, wykonana akwarellą, pendzlem panny Rakowskiéj, przedstawia wieniec, upleciony z kłosów, paproci, macierzanki, bławatków i stepowych burżanów; adresy ułożone były w osobne koperty, ze stosownym napisem. Dało mi to pobudkę do napisania pieśni dożynkowéj. Bohdan głęboko był poruszony; przy wspomnieniu Ukrainy, rozpłakał się jak dziecko. Uradzono z góry, iż aby nie rozrzewniać zbytecznie jubilata, adresy ani wiersze czytane w dniu tym nie będą. Wyjątkowym tylko sposobem odczytałam wiersz A. E. Odyńca, przedstawiający solenizantowi grono podpisów 126 panienek, formą i pomysłem godny Rusałek nadwiślańskich. Bohdan uszczęśliwiony był z niego. „Edward zawsze ten sam," rzekł, „zawsze przyjaciel panienek. Dzięki Bogu, że zachował młodość i myśl swobodną." Z tego powodu opowiadał mi dawne niegdyś zebrania w kółku przyjaciół. Wspominał każdego z druhów, tak miłych jego sercu: Brodzińskiego, Mochnackiego, Witwickiego, których groby rozrzucone dziś pod obcém niebem, nad Elbą, Tybrem i Sekwaną, a z których jedyny przyjaciel pozostał mu jeszcze na własnéj ziemi. Zapragnął widzieć własne pismo jego. Wtedy pokazałam mu wiersz drugi *umieszczony powyżéj*, a przeczuwając jaką to sprawi mu radość, odczytałam go na głos. Bohdan zapłakał rzewnie. Prosił, aby złożyć w jego imieniu podziękowanie wszystkim, którzy go tak serdecznie uczcili. Autora wiersza wymienił nasamprzód. Z zakazu lekarzy pisać sam dzisiaj nie może; nie traci jednak nadziei, że troskliwe starania dr. Gałęzowskiego poprawią mu wzrok o tyle, iż nakreśli sam kilka dziękczynnych słówek do osób, które dały mu tyle dowodów uznania i współczucia. Imię Adama Pługa wymienił z najżywszą wdzięcznością. „Ja nie zasłużyłem na to, rzekł do mnie, bo cóż ja uczyniłem? Nie moja w tém zasługa, że Bóg pozwolił mi urodzić się w czasach, kiedy prąd poezyi powiał nad krajem naszym i potrącił téż o mnie.—„A dlaczegóż nie potrącił o wszystkich, którzy w tych czasach żyli?

zapytałam „Małaż to rzecz należeć do garstki wybrańców Bożych? Ten chór głosów nadbiegłych tu z kraju, niech da miarę waszéj zasługi, ojcze, a wdzięczności serc ziomków.”

Kilka godzin zbiegło nam w oka mgnieniu. O zachodzie słońca pożegnaliśmy drogiego jubilata, obdarzeni jego błogosławieństwem. Był to w życiu mojém jeden z tych dni, których pamięć nie zaciera się w duszy.”

S. D.

NIEŚMIERTELNOŚĆ.

przez

hr. Wojciecha Dzieduszyckiego.

II.

W taką złą i przeklętą nieśmiertelność wierzę razem ze starszą i mędrszą połową ludzkości, co siadła w Azyi nad Spokojném morzem i nad morzem Indyjskiém. Byt jest jeden i jednaki. Rodzaje długiemi jednakowemi bytu objawami; jednostki tylko marne drganiem wielkiéj bytu strony; a grzechem pierworodnym to, że każde przemijające drgnięcie, każda jednostka, każdy znikomy cień, każdy rodzajów puls mniema, że jest trwaniem, myśli, że jest wszystkiém, i chce tego, co być nie może; myśli, że zatrzyma dla siebie wielki czasu rygor, i że prawo rzeczy nieodmienne podda własnéj woli. I każda jednostka tę słabą, tę niemocną wolę swoją wytęża przeciwko konieczności i boleje przeto. I nie chce przeminąć choć przeminąć musi.

Mówiłeś, Bolesławie, że teraz chcesz już mówić na seryo! Przyznam tobie tedy z góry że i ja w nieśmiertelność wierzę; w prawdziwszą nieśmiertelność od téj, o któréj mówiłeś tu oto, gdyś marzył o pośmiertnéj chwale. W nieśmiertelność, co może podobna trochę do téj, o któréj marzą spirytyści, i o któréj nam mówiła w Wenecyi Leosia; jednak nieśmiertelność to odmienna przecię, nieśmiertelność mniéj urocza, choć może bardziéj pocieszająca. Nazywali ją Grecy palingenezą; wierzą w nią miliony w Chinach, w Indyach, w Japonii. Jeśli panie pozwolą, powiem moje Credo.. Ale mieliśmy jechać na Via Appia, czas już zejść z Kolosseum. W powozie, pośród grobów dobrze mi będzie mówić o nieśmiertelności w ślad za Sokratesem Platoną.

III.

Po odwiecznym gościńcu potoczył się powóz. Mijał groby i pogańskie i chrześciańskie, starożytne bramy i średniowieczne karety; toczył się po wielkim dziejów cmentarzu, po *Via Appia*; dokoła rozlegał się smętny zielony step, a wodociągi porozrywane tworzyły wielkie linie łuków po pustym stepie. Z daleka widać było tu i owdzie szare woły Rzymskiéj Kampanii o ogromnych, klassycznie zagiętych rogach, a wielkie fantastycznie poprzecinane obłoki sunęły majestatycznie po włoskiém niebie; w głębi widać było facyatę Lateranu i kopułę Świętego Piotra, a za niemi gdzieś daleko czarną we trzy szczyty przeciętą, niegdyś przez Owidyusza ukochaną górę Loracte, i Janiculum obrosłe czarnemi dąbrowami. Z przeciwnéj strony biegły u dalekiego widnokręgu sine góry Albańskie i Wolsków góry. Przy drodze rosła miodunka i patrzała na przejezdnych tęskno czerwoném i niebieskiém okiem. Po obu stronach drogi stały rozwalone szare grobowce, a dulkamara obrastała je płacząc. Tęskno było na sercu tym, co jechali pomiędzy groby i milczeli póty, póki nie dojechali do olbrzymiego rozwalonego grobu Cecylii Metelli. Odtąd szerzéj otwierał się step, i gdy jechano daléj, zaczął Romuald rzecz przyobiecaną.

Romuald. Mówimy, że żyjemy od dwudziestu, od trzydziestu kilku lat, a Włoch woźnica, co nas wiezie, twierdzi niewątpliwie, że już od pięćdziesięciu przeszło lat żyje. I cóż to twierdzenie nasze znaczy? Nie to przecię, abyśmy w jakiś sposób mistyczny posiedli tych lat dwadzieścia, trzydzieści kilka, pięćdziesiąt, które się w naszém życiu mieszczą. To, co było nie jest, to co było, minęło, przepadło, nie dotycze się nas już dziś. Rzecz bolesna niegdyś, przemieniona we wspomnienie, rzeczą miłą tak, jak widok urojonego cudzego nieszczęścia na scenie; żywo pozostało w naszéj pamięci chwil kilkanaście z minionego życia: możemy o tych kilkunastu chwilach powiedzieć, że je posiadamy, że nie minęły dla nas,

że są jeszcze. Mniéj wyraźnie pozostały w pamięci naszéj tysiączne chwile, ale one się zlały nieraz w jedno, one zmieniły nieraz postać swą dziwnie i nie do poznania w zwierciedle pamięci. Istnieją już tylko na pół. Wspominamy je, nie widzimy, nie odczuwamy ich już. W świadomości naszéj to już tylko przygasłe echa, które ze wszystkiém znikną niezadługo, tak, jak znikła u nas ze wszystkiém i niepowrotnie pamięć większéj części spraw naszych i dni naszych.

A jednak mówimy o sobie, żeśmy byli sobą, żeśmy żyli i w każdéj minionéj a zapomnianéj chwili. Wydaje nam się wszystkim, że te dni przepadłe w toni niepamięci są częścią naszego żywota, i domagamy się, by ten żywot trwał po wiek wieków i wtedy, gdy ciało nasze się w proch rozpadnie. Domagamy się, abyśmy mogli gdzieś nie wiedzieć gdzie, twierdzić, żeśmy tu żyli na ziemi, jako Bolesław i Romuald, Leosia i Marya. I jeśli nam się zdaje, żeśmy ci sami, którzy niegdyś płacząc leżeli na ramionach piastunki, stanie się zaiste zadość naszemu żądaniu.

Tożsamość moja z Romualdem owym, któ ry żył w minionych a zapomnianych chwilach życia mojego, z Romualdem owym, który niegdyś kwilił w kołysce niemocen i zaledwo ochrzczony, i z Romciem, który się zanosił od śmiechu wśród dawno zapomnianéj zabawy, i z Romualdem studentem, co się unosił nad wierszem, po którym żadne słowo nie pozostało w pamięci, i co się może przez jedno południe kochał w dziewczynie, któréjby nie poznał ani imienia, ani osoby, i nawet z Romualdem wczorajszym czy przedwczorajszym, gdy wykonywał powszedni a zapomniany już ruch, albo wymawiał zapomniane słowo, albo w galeryi obrazów patrzał na jakąś Madonnę, która w godzin kilka utonęła wśród niewyraźnego tłumu Madonn na poły tylko zapamiętanych,—moja tożsamość z tymi wszystkimi przeszłymi i zapomnianymi Romualdami zależy chyba na dwóch rzeczach. Raz na tém, że nie było nigdy przerwy między zdarzeniami, które się tykały Romualdów tych, a powtóre na tém, że jest jakieś podobieństwo w układzie myśli i w postaci ciała między mną teraz a wszystkimi przeszłymi Romualdami, i że ja jestem niejako skutkiem i wynikiem tego wszystkiego, co się tym Romualdom wydarzyło, choć to drugie wątpliwie o ile o nich zapomniałem, i o ile tedy mój umysł dzisiejszy w niczém nie zachował podobieństwa zdarzeń, co dawnymi Romualdami władły.

Tyle téj łączności, nie więcéj. Zresztą jeśli świadomość czasów minionych znamieniem osobistości, jeśli nazywacie owém życiem duchowém, co ma być nieśmiertelném, pamięć czynów dawnych i poznawanie rzeczy świadome, umierałem i zmartwychwstałem już nieraz w przeciągu lat trzydziestu kilku zwanych życiem mojém. Ilekrotniem usnął, poszły życie i przeszłość i wiedza nabyta w niepamięć, umierałem tak samo dla ducha, jak umrę kiedyś w wigilię rozkładu ciała mego. Na świadomość moją ludzką padały ciemności. Jednak byłem i nadal czémś, a potém w wielkiéj rzeczy przemianie budził się na nowo Romuald, choć po części świadom tego, czém bywali niektórzy dawni Romualdzi, z tych, co się co rano rodzili i co noc obumierali. Tylko coraz większa ilość minionych dni przepada nieodwołalnie w toni niepamięci.

Gdy śpię, inne wiodę żywoty; podobnież inném jakiémś było życie moje, kiedy zemdlałem, albo kiedy miałem gorączkę. Na jawie wszystkie te żywoty zupełnie albo prawie zupełnie zapomniane. Pozostało tylko niewyraźne wspomnienie kilku snów, co się zjawiły u granicy między snem a przebudzeniem, wtedy, kiedym konał, albo kiedym zmartwychwstawał codziennie, bez dzwonienia archanielskiéj trąby. Na jawie nawet świadomości mojéj bywają rozmaite stopnie i rozmaite rodzaje. W téj chwili prawię o nieśmiertelności, i w świadomości mojéj sama prawie tylko filozofia. Że tak rzekę cały jestem tylko filozofią, z lekka zabarwioną tą naturą pojedynczego człowieka, którą na ziemi nazwano Romualdem. Gdy zechcę aktem woli zwrócić uwagę sam na siebie i być świadomie całym sobą, nie ze wszystkiém mnie się to uda; będę przedewszystkiém refleksyą, świadomą uwagą chcącą ująć rzecz nieujętą: a potém będę przesuwał po przed oko duszy mojéj pojedyncze obrazy. Każdy obraz przez chwilę przed okiem mojéj duszy stanie, i będę cały przez chwilę obrazem, a potém jako obraz ten, jako to wspomnienie, co na chwilę całą moją napełnia

istotę, zniknę i umrę, świadom jednak tego, że skoro zechcę, stanę się znowu myślą tą, jako myśl ta zmartwychwstanę.

Eleonora. Daruj, braciszku, ale mówisz strasznie mądrze, tak, że cię zrozumieć nie mogę. Mówisz, że w téj chwili jesteś samą tylko filozofią. Nie rozumiem paradoksu tego.

Romuald. Boś się nie uczyła filozofii. Masz oko, a nie umiesz go użyć.

Eleonora. Ale może przecię spróbujesz tak mówić, abym ciebie rozumiała.

Romuald. Słuchaj i chciéj rozumieć. Gdy sama nie zrozumiesz, nie poradzę na to. Trzeba się w głębszą myśl wmyślić samemu. Drugi cię nie wprowadzi do wnętrza filozofii; daremnémby było jego usiłowanie. Słuchaj mnie do końca, a może mnie zrozumiesz wreszcie.

Bolesław. A jeśli nie zrozumiesz, wytłómaczę. Daj mu mówić. Ciekaw jestem przecię dokąd zajdzie na skrzydłach rozpaczy.

Romuald. Do znanéj już przystani.

Umysł mój, to, co jest mną najbardziéj na prawdę, budzi się i usypia co chwila, co chwila się przemienia, co chwila się rodzi i zmartwychwstaje. A kiedy się odradza znowu tém, czém był pierwéj, mówi: „To ja byłem już pierwéj i dotąd trwam: przypominam sobie. I gdy ujrzy kształt pewny, i gdy uczuje coś w tym kształcie, nazwie to umysł mój ciałem swojém; wyobrażenie to stałe, które często wraca. Częściéj oko mojéj duszy zwrócone na ciało moje, jak na cokolwiek innego. I wtedy jestem ciałem cały, tak jak się wam zawsze ciałem wydaję. A czasem jestem myślą oderwaną, czasem krajobrazem, potém usnę, i jeśli chcecie jestem niczém; jeśli chcecie jestem jeszcze i trwam, ale nie umysłem, nie ciałem świadomém, czémś zapomnianém dla mnie na jawie, a widomém dla was, czémś, co duchowo umarło i cieleśnie żyje, ale tak, że o tém nie wie, że ciałem jest dla was tylko, a nie dla siebie, a przecię czémś, co rano jako człowiek myślący zmartwychwstanie.

A przyjdzie chwila, że usnę na długo. Ciało moje zniknie z przed waszych oczu, świadomość moja zgaśnie; powiecie: „Oto umarł!" i złożycie mnie do grobu; ksiądz nademną odmówi pacierze, i będzie ze wszystkiém po Romualdzie. Ale porządek zdarzeń nie przerwię się na świecie, i jeśliście wy twierdzili, żem istniał jeden i ten sam, gdym był we śnie i gdym był na jawie, kiedym był pulchném dzieckiem i kiedym się stał mężem kościstym, kiedym czuł i kiedym zapominał; nie będziecie mieli prawa mówić o mnie, żem przestał istnieć wtedy, gdy umrę. Nieprzerwanym tokiem będzie biegł strumień czasów, i atom co we mnie myślał nie przestanie istnieć. Będzie w prochu, będzie w drzewie, będzie w owadzie, aż kiedyś po wiekach znów się wzbudzi myślącym atomem w człowieku. I ujrzy znowu ciała podobne do mego, i uczuje namiętności do moich podobne. Dla czegoż powiecie, że to nie ja zmartwychwstałem raz więcéj na to, by cierpieć i umierać? Czy dla tego, że mój kształt będzie trochę odmienny? Przecięż i dziś nie jestem podobny do dziecka, co nosiło moje imię. Czy dla tego, że nie będę pamiętał téj tu podróży i téj oto rozmowy? Wszak i teraz nie pamiętam, co owo dziecko robiło. Oto nieśmiertelność i oto zmartwychwstanie niewątpliwe, w które wierzy filozof.

Nieśmiertelność dwojaka: raz materyi, a powtóre formy. Nie wiem na pewno czy mam zgodnie z materyalistami i nawet ze spirytualistami dawnymi wierzyć, że jakiś atom, jakaś iskra, jakaś jak mówiono także monada jest istotą moją wewnętrzną, czy też nie będzie bezpieczniéj zgodzić się z nauką teraźniejszą i uwierzyć, że co chwila inna cząstka materyi zajmuje takie miejsce wśród skomplikowanéj ciała budowy, że w niéj się odzwierciedlają wszelkie wrażenia i wszelkie wspomnienia ludzkie, i że ona w danéj chwili mówi o sobie: „ja." W jednym i w drugim razie wrażenia tego atomu bywają wielce różnorodne i rozmaite, najrozmaitszemi bywają i za życia stopnie jego świadomości; nie rozmaitszemi wcale będą po śmierci, gdy atom ten wpadnie nazad w prąd materyi, gdy będzie cząstką wszelkich organizmów. Oto nieśmiertelność jedna, w którą wierzę.

Nieśmiertelnością drugą — nieśmiertelność idei, formy, rodzaju. Jeśli mimo przerw mojéj świadomości i mimo zapominania, mówię o sobie przed dziesięciu laty i o sobie dziś, jako o jednéj i téj saméj istocie, to dla tego, że wreszcie przypominam sobie zawsze podobne ciało, podobny umysł, podobne wspomnienia

i namiętności złączone z sobą; słowem podobną zawsze formę, którą nazywam jednym i tym samym człowiekiem. A jeśli inni ludzie mówią, że i ja, i Romuald dawny to jeden człowiek, to témbardziéj dla tego, że widzą zjawisko zawsze w ogólnych zarysach i cielesnych, i umysłowych, podobne do dawniejszego zjawiska. Wreszcie przekonanie moje i przekonanie drugich o mojéj tożsamości uzupełniają się wzajemnie, i na mocy zwyczajnego prawa natury zamieniają mniemanie w niezachwianą wiarę, o tyle słusznie zresztą o ile nic innego w mowie ludzkiéj nie oznacza tożsamość osoby, lecz tylko tożsamość tę, o któréj tu mowa, i o tyle słusznie, o ile gonienie za pojęciami, któreby nie były zwyczajnemi pojęciami ludzkiemi, jest szaloną metafizyków pogonią.

Otoż tak jak tam na Kolosseum powiedziałaś Leosiu, że ci dziwno, gdy spojrzysz na kwiat i pomyślisz, że przez wieków tyle niezmienił swéj natury, rosnąc tak samo i kwitnąc tak samo na gruzach Kolosseum za panowania królów sabaudzkich, jak rósł i kwitł za dyktatorów i konsulów pierwotnéj Romy,— tak samo i tém samém prawem mogłabyś się dziwić temu, że po dziś dzień żyją ci sami ludzie, co żyli niegdyś. Powiedziałem to już i powtarzam: zmienili strój, nie zmienili natury swéj. I postać, i myśli, i namiętności pozostały te same u ludzi, odkąd nastali ludzie na świecie. Różnice, które pomiędzy ludźmi zachodzą, wydają się znacznemi tylko w skutek tego, że będąc częścią ludzkości, patrzymy na nie ze zbyt blizka. Przenieśmy się do właściwéj perspektywy, spojrzmy na rodzaj ludzki, że tak rzekę z góry, wzrokiem bez namiętności i przesądu, a wydadzą nam się ludzie tak podobnymi do siebie jak liście na drzewie albo owce w trzodzie. Co największa, istnieje na świecie kilka lub kilkanaście wyraźnych moralnych albo fizycznych typów ludzkich w obrębie jednéj rassy lub jednego narodu, i poeta co zdoła tych kilka typów opisać, całą ludzkość odportretuje. A dodam jeszcze, że i te typy moralne, które istnieją, nie są po największéj części przyrodzone, i że bywają skutkiem działania zewnętrznych okoliczności.

Więc typ, człowiek, idea, żyje wieczném życiem, podobnie jak róża typowa, lub sokół typowy. Między mną a człowiekiem, co żył przed dwoma tysiącami lat, jest niewiększa, jest mniejsza może różnica niż między mną teraz a mną samym temu lat dwadzieścia. Tylko Romuald zginie: człowiek żył od wieków i żyć będzie przez pokolenia setne, i to nieśmiertelność wtóra.

Nieśmiertelność materyi i nieśmiertelność formy poruszają się osobno; są to dwie rzeki, których źródła i ujścia nikną gdzieś wśród mgły nieskończoności. Ale atom, co wiruje bez końca pośród ciał wszechświata, czy iskra, czy monada, nazwiéj go jak chcesz! owa powiadam jednostka materyalna, co w téj chwili jest we mnie, i myśli we mnie, i czuje, zajmie kiedyś znów podobne stanowisko pośród ciała, i znowu będzie rozumiała i będzie cierpiała. I oto ciał zmartwychwstanie! Wtedy będę znowu cały wśród tego świata złudzenia, tak jak tu jestem dziś; ta sama treść tę samą przybierze formę i tę samą uczuje przeklętą czczość. Macie jeśli chcecie ciał zmartwychwstanie, a może i potępienie wieczne. A jeśli komu z was dobrze z tém, że istnieje, macie rękojmię, że po wiek wieków istnieć będziecie.

Eleonora. Po wiek wieków nie. Gdy rodzaj ludzki wymrze, zniknie forma ludzka, o któréj mówisz, że jest rękojmią twego trwania i twego zmartwychwstania, jeśli cię zrozumiałam dobrze.

Romuald. Zrozumiałaś. Chcesz módz czuć, a przeto i cierpieć po krociach lat, gdy już ludzi nie będzie na ziemi, i gdy planeta ta stanie się na nowo pastwą niższego stworzenia. A gdy ci wytłómaczę, że kto się wzbije dość wysoko po nad złudzenia samolubstwa, ten pozna i zrozumie, że wreszcie wszelka forma życia jedną wielką formą, zatęsknisz może do tego, byś istniała i wtedy, gdy się ta planeta rozsypie w proch i w parę kosmiczną. Da Bóg siostrzyczko, uspokoję cię. Da Bóg, skoro zaczęłaś mnie rozumieć, wzbijemy się w wyższe abstrakcye, staniemy na wyniośléjszym punkcie filozoficznéj wiedzy, może ujrzymy na tle nieustannéj wiecznie bolejącéj przemiany, ostatnią rzeczy przyczynę, jedyną przystań pokoju, która ludziom dana.

Marya. Więc i ty także mówisz o ostat-

niéj rzeczy przyczynie? Dla czegoż mawiasz, że nie wierzysz w Boga?

Romuald. Bo imion rzeczy nie przekręcam. Bo każdą rzecz nazywam po imieniu. Bóg to osobisty Duch, co świat stworzył i światem władnie. Bóg podług wiary narodów pierwszą przyczyną. Ale może być nią przypadkowe potrącenie powstałe wśród milczenia wieków; może nią być wiele rzeczy niebędących Bogiem, i pierwsza przyczyna, którą ja znam, Bogiem nie jest.

Bolesław. Mów, mów Romualdzie, a ja ci potém kiedyś odpowiem.

Romuald. Oto najpierw mówiłem o dwu nieśmiertelnościach, a nie o jednéj nieśmiertelności. Pierwszą była nieśmiertelność materyi, czémkolwiek ona jest. Otoż nie będzie nikt wątpił, że materya nie przestanie ulegać zmianom które są samąż bytu istotą i wtedy, kiedy już ludzi nie będzie na ziemi. Jak długo życie będzie na ziemi, tak długo szczątki materyi będą przechodziły przez twory żyjące, będą czuły, będą chciały. Więc materyi nieśmiertelność nie jest związana z trwaniem rodzaju ludzkiego, skazanego niezawodnie na zatracenie podobnie, jak wszystkie indywidua i wszystkie formy na tym znikomym świecie. A wtedy, kiedy i świat ten spłonie, albo się rozbije w puch wśród otchłani, materya, z któréj się składał on, i z któréj się składały wszystkie żyjące istoty, co na nim bytowały, nie zniknie. Będzie daléj istniała wśród otchłani. I daléj będzie mogła stać się życiem, i kiedyś wśród wieków bez liku stanie się znowu życiem. Może śnić przez milion milionów lat. Ale czémże to? Chwilką tylko!

Forma ludzka przestanie się kiedyś jawić na téj ziemi; powstaną natomiast na téj ziemi, albo wśród innych światów formy inne spokrewnione. A gdy spojrzymy w form tysiącznych treść, ujrzymy, że wreszcie jest jedną i tą samą rzeczą. Jest wolą istnienia. Nie masz większéj różnicy między ludzką a zwierzęcą świadomością, niż między świadomością senną i świadomością na jawie; a kształtów zmiana stopniowa i względna. Tak, jak wszytkie ciała ludzie są jednéj idealnéj formy urzeczywistnieniem, tak kształty zwierząt ssących naprzykład są także urzeczywistniem jednego tylko, lubo szerszego o wiele ideału. Spytaj się jakiego chcesz przyrodnika, a każdy ci powie, że te same kości i muskuły powtarzają się w ten sam sposób u wszystkich zwierząt ssących, że wszystkie są urzeczywistnieniem jednéj tylko formy. Wzbijmy się tylko myślą trochę wyżéj, obejmiéjmy tylko szersze sfery wzrokiem, a przyjdziemy do przekonania, że wreszcie forma wszelkiego organicznego życia zawsze jedna i ta sama, niezmienna w zasadzie, a wieczna, różna o tyle tylko, o ile bywa różną każda chwila w życiu ludzkiém, każda rzecz na tém falistém morzu złudzeń i marności, które zowiemy istnieniem.

A przeto i nieśmiertelność materyi zapewniona i zapewniona nieśmiertelność formy. Na to, by wiedzieć, że te rzeczy nie przemijają, trzeba się tylko wyrwać na chwilę od wpływu wrażeń powszednich; trzeba w sobie duszę uciszyć i moc spokojną rozumu wznieść wysoko po nad ułudę niespokojną chuci i namiętności.

Albo trwanie nasze doczesne jest czystą ułudą, albo też posiadamy trwanie wieczne. A właściwie jesteśmy cząstką wiecznéj ułudy tylko!

Z niezgłębionéj przyczyny wszechrzeczy, z niezbadanéj, niezmierzonéj, spokojnéj toni nicestwa wychyla się chęć istnienia, wolazła, która tworzy byt. Byt to forma rzeczy powszechna; wszystko, co jest bytem jest i tym samym bytem! I to co żywe, i to co martwe, i to co widome, i to co niewidome, i to co w czasie się jawi, i to co się rozpościera po saméj tylko przestrzeni, wszystko objawem jednéj i téj saméj rzeczy, wszystko to formy bytu. A jeśliście zrozumiały, com mówił pierwéj, bo wiem, że Bolesław mnie rozumiał, zrozumiecie, że przeto wszystko co jest, współistotném jest, jeślim ja tylko na prawdę współistotny z tym, co wczoraj był mną, i tak jakom współistotny z wami wszystkimi, którzy jesteście tylko odmiennemi objawami tego samego co ja człowieczeństwa.

Byt jest ciągłą odmianą; byt z konieczności zjawiskiem jest. Wszechrzeczy przyczyna nieistniejąca, jeszcze to otchłań ciemna morza, a byt czyli wszechświat, bo te dwie rzeczy to jedno i to samo, to barwne i wzorzyste przezrocze, które powstaje na powierzchni morza,

31

jako pozór ułudny, skoro słońce morze oświeci. Słońcem tu grzech pierworodny, pragnienie istnienia.

Byt tedy musi być rozmaity, mimo absolutnéj i pierwotnéj jedności swéj. Forma ogólna, powszechna, kardynalna musi się mienić na tysiąc tysięcy form zapożyczonych; powstają tedy duchy, myśli i ciała—wśród ciał powstają głazy, rośliny i zwierzęta, i każda forma ogólniejsza znów się dzieli i rozpada na formy niższe póty, póki ułuda bytu nie zjawi się ostatecznie w atomie, w kształcie pojedynczym, wpojedynczéj jednostce, w tém czémś niepodzielném i chcącém żyć, co jest tylko jednym więcéj promieniem tęczy ułudy, a co w siebie wmawia, że jest rzeczą trwałą i osobno wieczną, i uprawnioną do własnéj nieśmiertelności. Człowiek, zwierzę, roślina stają u samego końca przemiany, jako ostateczne urzeczywistnienie grzechu pierworodnego, jako przemijająca pastwa cierpienia i śmierci.

Mówiłem pierwéj o atomach i o materyi w przeciwstawieniu do formy. Mówiąc tak działałem rozumnie, chciałem być zrozumianym; skoro zacząłem mówić o najwyższych prawdach przed wami, coście nie przyzwyczaiły umysłu waszego do rozpoznawania tych trudnych, tych niezgłębionych prawd, w których znalazłem jedyną chwilową pociechę życia, używałem zwyczajnego ludzi języka, i za jego pomocą doprowadziłem was do progu mądrości. Teraz trzeba wejść do wnętrza świątyni, więc wypręę się już uroczyście potocznych błędów i będę stanowczo i jawnie mówił językiem filozofii.

Marya. Mów. Jest jakaś potęga w nauce twéj, choć dotąd nie stała się zupełnie jasną dla mnie.

Romuald. Jeśli słowo „materya" ma istotnie znaczenie jakieś, to oznacza tylko byt nieświadomy, a przeto jedną formę bytu; drugą formę odmienną, ale rzeczą współistotną byt świadomy czyli duch. To tylko dwa objawy jednéj rzeczy, a jednego, jak i drugiego objawu treścią jedyną forma. Wyda się to może paradoksem, a jednak tak jest.

Każdą rzeczą jest byt w tę lub ową formę ujęty. Formy te bytu mienią się ciągle: płyną i odpływają, migają się, jak płomienie w ognisku. Oto jest bryła ciemna, nieregularna, która cięży tylko; jedna to forma bytu—głaz. Bryła ta pierzchnieje na powietrzu i rozsypuje się w inną formę, w ziemię; z téj ziemi wyrasta ziele, i teraz natura bytu się przemienia. Ziele nie sam ma tylko kształt w przestrzeni, ma że tak rzekę drugi kształt w czasie, ma prawa żywotne rodzaju, według których się rozwija, kwitnie i ginie. I ta forma ziela ze wszystkiemi własnościami swojemi zniknie, ziele stanie się pokarmem ludzkim, a byt w człowieku przybiera także formę i własności myśli i pamięci działających w czasie i w przestrzeni, a niezajmujących przestrzeni, tak zwanych własności duchowych.

Wszechbyt jest wielkim kobiercem wzorzystym form i idei, z których kombinacyi powstają pojedyncze istoty. Wszystko ujęte prawem i wszystko konieczne. Aby zrozumieć świat lepiéj, porównamy go do wzoru, na którym zakreślono mnóztwo figur geometrycznych. Jest w całym wzorze tylko kilka rodzajów figur, ale tych kilka rodzajów wystarcza na to, by nadać wzorowi nieskończoną prawie rozmaitość. Człowiek każdy jest widzem, który się posuwa raczkiem na kobiercu. To, co jest na prawo i na lewo, może obejrzeć od razu, mówi tedy o tém wszystkiém, że to rzeczy teraźniejsze, a linię ową, na któréj w danéj chwili stoi nazywa teraźniejszością, rzeczy zaś rozmaite widome równocześnie na téj linii przedmiotami istniejącemi w przestrzeni. To przez co człowiek ten idący wciąż w tył już przeszedł, i to co widzi przed sobą, przeto wyraźniéj, gdy jest blizkim, a mniéj wyraźnie gdy się jawi daleko, to jest przeszłość. To, co jest z tyłu za nim, przez co nie przeszedł i czego nie widzi i widzieć nie może, to przyszłość. Przyszłość, co chwila staje się dla niego teraźniejszością, teraźniejszość przeszłością, i może mu się wydawać, że nowe coraz części kobierca powstają, w miarę jak znane już uchodzą w dal. W istocie jednak kobierzec cały istnieje od początku.

Formy wszechistnienia wszelkie istnieją podobnież od początku. Promienieją jednak, że tak rzekę, w różnych kierunkach. Myśmy formą bytu mogącą z natury swéj poznać cztery istnienia kierunki: szerokość, głębokość, długość i czas. Pierwszych trzy mo-

żemy równocześnie objąć okiem po części, możemy się dowolnie po nich posuwać, i nazywamy je razem przestrzenią. Co do czwartego kierunku, możemy go tylko poznawać częściowo podług przepisanych praw; nie mamy żądzy napełnienia sobą przestrzeni, a mamy żądze napełnienia sobą czasu; nie możemy sobie przyszłego ani przeszłego czasu wyobrazić, w którychby nas nie było, i w którychby nie było naszych namiętności, a jako formy bytu, w tym względzie ograniczone i zaślepione ulegamy złudzeniu, że formy inne podobnie, jak my powstają i przemijają. To złudzenie namiętności naszych, chuci i nieszczęść przyczyną. Temu złudzeniu ulega podobnież wszystko co żyje, wszystko co czuje wśród wszechświata. Oto pierwiastek zły!

Gdyby ktoś sam nieujęty prawami czasu spojrzał na wszechświat z góry, ujrzałby wieczność. Przeszłość, przyszłość i teraźniejszość zjawiłyby mu się wtedy od razu, a wieczność byłaby matematycznym wzorem zjawisk wiekuistych; pokazałoby się jak na dłoni, że zmiana i życie, że śmierć i urodziny, że duch i ciała ułudą tylko; zgasłyby wtedy nadzieje, zgasłyby tęsknoty, jak po przeczytanéj już powieści.

Tak, jak wpierw mówiąc o materyi używałem póty potocznych wyrazów, póki mi się nie wydało, że zrozumiecie i prawdziwsze słowa, tak wpierw używałam słowa wieczności w potoczném znaczeniu, i wtenczas słowo to oznaczało czas bez granic. Teraz użyłem słowa tego po raz pierwszy w prawdziwém, w górniejszém, w filozoficznéм znaczeniu. Wieczność to czas przeszły, teraźniejszy i przyszły, od razu jednym rzutem oka ujęte; w wieczności jest ten, który nie oczekuje nieodgadnionych dla niego zmian, który niczego nie pragnie i niczego się nie boi, który wie, że zmiana w czasie także formą tylko bytu, także ograniczeniem tylko tak, jak postać ujęta przestrzenią. Kto jest w czasie, dla tego świat cały jednym niezmienionym wynikiem praw bytu i ułudy.

Człowiekowi trudno wybić się z pośród czasu i wznieść się po nad byt, i przejrzeć konieczną ułudę i wejść do spokoju i wieczności. Do tego może go jedynie doprowadzić prawdziwa filozofia. Istoty inne żyjące skazane na nieprzerwaną mękę wśród czasu, nigdy się nie wydobędą z objęć czasu. Pośród tego wszystkiego co jest, człowiek sam jeden może ułudę zwyciężyć, i przeniknąwszy własną nicość, znaleźć pokój wiekuisty. Środkiem do tego prawdziwa wiedza i filozofia. Nam w Europie stają na przeszkodzie w drodze do prawdziwego poznania mity hebrajskie, które przemieniły przyczynę wszechrzeczy głuchą i ciemną w Boga osobistego, a więc w istotę żyjącą podobnie jak my wśród czasu i ułudy, i które nam przyrzekają kiedyś za grobem wieczne trwanie doczesnych wspomnień i doczesnych chuci. Religia ta każe nam coraz bardziéj lgnąć do życia, czy to tutecznego, czy też tamecznego. Narody Europy i Ameryki nie mogą się tedy łatwo pozbyć ułudy mimo mnogiéj nagromadzonéj wiedzy, i wytężają po dziś dzień siły swe na to, by kiedyś zdobyć na ziemi niemożliwe szczęście. Wydaje im się, że użyteczną nauką nauka przyrodnicza, czyniąca z człowieka coraz potężniejsze i coraz bardziéj nienasycone zwierzę. Budują koleje, stawiają telegrafy, użyźniają pustynie, przecinają międzymorza, rozmyślają nad kierunkiem balonów i ustrojem rzeczypospolitych, i myślą niedorzecznie, że tém uszczęśliwią ludzkość, choć rozbudzają w niéj tylko coraz nowe chuci. W dalekiéj Azyi narody, których rozum nie został skrępowany religijnemi fałszami, doszły prawdy. Wielu mędrców pośród nich stanęło wśród wieczności, pozbyło się bytu, i używa nirwany, nicestwa, jedynego szczęścia, które nie jest ułudą!

Marya. Więc nicestwo twojém szczęściem? to pieśni ostatnia nóta?

Romuald. Córa Europy wychowana w miłości ułudy, wzdryga się na samo imię nicestwa! A rzecz sama słodka zaiste! Kilkakrotnie już wyrwałem się z czasu obieży, a wskażę wam drogę.

A najpierw wspomnijcie o odległych krainach, albo o czasach zamierzchłych, pomyślcie o narodach rozmaitych zamieszkujących Afrykę, o cesarzach rozmaitych Chin, o zwierzętach australskiego lądu, a ujrzycie jak w odległości maleją różnice, które z bliska wydają się wielkiemi. Choć obszerne przeczytacie sprawozdanie o tych krainach, wyda wam się wreszcie, że wszystko co tam jest,

jednakowém jest, tak, jak jednakowymi ludzie, na których kto o ćwierć mili spojrzy.

Gdy mówisz o ludziach, co w starożytności żyli rozdzieleni kilkowiekowym okresem, powiesz mimowoli, że to byli ludzie współcześni, a wszyscy Rzymianie i Grecy wydadzą ci się jednymi tym samym człowiekiem. Ujrzysz formę ich wspólną, nie dostrzeżesz już drobnych różnic; pozbyłeś się bowiem namiętné ułudy, która trapi współczesnych i patrzysz na nich prawie tak, jakby z łona wieczności. To, co dla nich przeszłością i przyszłością było, to także wiadome współcześnie; działanie ich wydaje ci się tylko wynikiem praw ludzkich; i wszystko, co ich się tycze, opowieścią już tylko. Nie odczuwasz tego więcéj od poematu; stawszy się beznamiętną, siostro, widzisz, że mężowie ci cieniami byli tylko i ułudą, i niczém. Kilku bohaterów góruje jeszcze nad tłumem. Stoją jeszcze za blizk nas; wydają nam się jeszcze żywemi osobami; ale tłum, co u ich stop, już zupełnie nieosobisty, już zupełnie formą ludzką i ludzkim ogólnikiem tylko. Nicość jego przejrzana. A czémże my, pomyśl, od takiego tłumu się różnimy?

(*D. c. n.*)

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO.

Symboliczne podania przywiązane do gwiazdozbioru Plejad. — Obniżenie się gruntu na wyspie Chios. — Nowe przedsięwzięcia inżynierskie. — Przekopanie międzymorza Koryndzkiego i Malakki. — Tunel kaletański. — Młyn olbrzymi. — Gaszenie pożarów za pomocą pary. — Przyrząd ogrzewający bez ognia. — Krokodyle w paryzkiéj Sorbonie. — Mieszkańcy Ziemi Ognistéj w Paryżu. — Środek ochronny przeciw malaryi. — Wybuch epidemii dyfterytu w skutek zanieczyszczenia powietrza. — Wino z buraków.

Uczony podróżnik, Haliburton, zamieścił niedawno w piśmie naukowém angielskiém: *Nature*, niezmiernie ciekawe wiadomości o symbolicznych podaniach, przywiązanych do gwiazdozbioru Plejad u wszystkich prawie narodów. Już dawniéj niegdyś pewny missyonarz hiszpański dowiedział się ze zdziwieniem, że dzicy Indyanie w Peruwii poświęcają czci zmarłych dzień 2 Listopada, który jest dniem zadusznym u Chrześcian. Taki szczególny zbieg mógł być jednakże przypadkowy; ale Haliburton, oddając się gruntownym studyom etnologicznym, przekonał się, że pamięć zmarłych przodków u wszystkich ludów zawsze była obchodzona na początku Listopada. Tu już niepodobna było wytłómaczyć zbiegiem przypadkowym tak powszechnego zwyczaju, który się odnajduje na obu półkulach, u starożytnych i nowożytnych narodów. Przyczyny ogólnéj należało szukać oczywiście w jakiémś zjawisku astronomiczném, w położeniu jakiéjś gwiazdy, na całéj ziemi widzianéj. Haliburton przypomniał sobie symboliczne znaczenie Plejad w świecie starożytnym, i zapytał astronomów, czy wschód Plejad na drodze zwierzyńcowéj przypadający teraz na wiosnę, nie przypadał nigdy w starożytności w Listopadzie? Odpowiedziano mu, że według obliczeń astronomicznych Plejady miały położenie podobne na niebie przed dwunastu tysiącami lat, dodając szczegół niezmiernie ciekawy: w jednym z najdawniejszych na świecie kalendarzy, przechowanym przez indyjskich braminów, Listopad nazywa się *Kartika*, co znaczy: miesiąc Plejad.

Trudno ztąd jeszcze zapewne jakiekolwiek wyprowadzać wnioski, w każdym razie niezliczone podania przywiązane do tego gwiazdozbioru zasługują na uwagę badaczy. Różne uroczystości odbywają się na cześć Plejad u krajowców australskich, amerykańskich i afrykańskich, najczęściéj uroczystości te połączone są ze święceniem pamięci zmarłych przodków. Wszędzie także przechowało się wspomnienie owéj siódméj Plejady, która, według Owidyusza, miała zniknąć w czasie wojny trojańskiéj. „Czy umiesz poznawać gwiazdy?” pytał raz Haliburton Murzyna na wybrzeżu afrykańskiém. Murzyn nie miał ochoty odpowiadać, w końcu jednak odezwał się, że każdy człowiek umie poznawać *siedm gwiazd*, i wskazał Plejady. „Czy widzisz ich aż siedm?” pytał znów podróżnik. „Nie, odrzekł Murzyn, widzę tylko sześć, bo siódma ukrywa się przed wzrokiem ludzkim.”

Niezbyt dawno astronom Mädler chciał widzieć w Alcyonie, jednéj z Plejad, środek, oko-

ło którego krążyć ma nasze słońce; dziś jednak zaprzeczają téj teoryi, a jednak rzecz dziwna, że i starożytni toż samo prawie znaczenie przywiązywali do téj gwiazdy, którą uważali za środek świata i za siedzibę cnotliwych dusz przodków. Nazwa jéj grecka, *Alkyone*, znaczny punkt środkowy, albo oś, około której coś się obraca. Nie znajdziemy może wśród gromady Plejad środkowego słońca, ale to pewna, że symboliczna Alcyona jest głównym i ważnym jakimś punktem, około którego skupiają się rozliczne mity i podania zamierzchłéj starożytności; niepospolite też przedstawia znaczenie dla cierpliwych badaczów, którzy usiłują przeniknąć mrok pokrywający przedhistoryczne czasy i pierwsze kroki człowieka na ziemi.

Trzęsienia ziemi na rozmaitych punktach nie ustają, przeciwnie, coraz groźniejsze przybierają rozmiary; donoszą naprzykład z Aten, że na wyspie Chios, w skutek tych nieustających podziemnych zaburzeń, grunt się ciągle obniża, w wielu miejscach wytryskują źródła wrzącéj wody, przewidują nawet, iż cała wyspa może się osunąć i pogrążyć w otchłaniach morskich, a strwożeni mieszkańcy tłumnie się zaczynają wynosić. W Zagrzebiu także już w tym roku nowe wstrząśnienia dawały się czuć po kilkakrotnie.

Gdybyśmy żyli w czasach bardziéj zabobonnych, niejednemu zapewne przyszłoby na myśl, że duchy, przewodniczące podziemnym siłom, podrażnione być muszą zuchwalstwem inżynierów, i dla tego tak wściekle wstrząsają skorupą ziemi. W rzeczy saméj wiek XIX zaznaczy się w dziejach przemysłu ludzkiego ogromem robot, które postać lądów zmienić usiłują. Po prześwidrowaniu w dwóch miejscach łańcucha Alp, po przekopaniu kanału Suezkiego, inżynierowie coraz śmielsze przedsięwzięcia obmyślają. Kanał panamski postępuje dość szybko, i za trzy lata najdaléj ma być ukończony. Ale niedość na tém, wkrótce mają się zabrać do przekopania międzymorza Koryntckiego i wązkiego przesmyku, który łączy półwysep Malakka z lądem azyatyckim. Tunel Kaletański postępuje także, roboty wykonywają się jednocześnie z obu stron, grunt okazał się zupełnie odpowiedni, gdyż pokład kredowy daje się przebić bez zbytnich trudności, a warstwa wyższa składa się przeważnie z gliny, która tam jakby naumyślnie się znalazła, aby sklepienie tunelu uczynić nieprzemakalném. Według obliczenia kierowników tego olbrzymiego przedsięwzięcia, dziesiąta część tunelu będzie ukończona za parę miesięcy; jeśli roboty i daléj z tąż samą szybkością postępować będą, przekopanie całego podziemia, którego długość ma wynieść 32 kilometry, potrwa jeszcze lat pięć. Następnie potrzeba będzie drugich lat pięciu, aby tunel ostatecznie rozszerzyć i wykończyć i urządzić w nim kolej żelazną. Nieprędzéj więc, niż w r. 1891 nowy ten cud świata stanie się dziełem dokonaném.

Przemysł amerykański szczególne ma upodobanie w rozmiarach olbrzymich. W stanie Minnesota, jak donoszą dzienniki, rozpoczęto budowę kolosalnego młyna, który ma zająć przestrzeń 6,000 metrów kwadratowych. Każdy bok ogromnego kwadratu wynosić będzie 76 metrów. Obliczają już dziś przedsiębiercy, że potworny ten młyn wydawać może przeszło pięć beczek mąki na minutę, a dochód roczny wyniesie około 14,000 dollarów, byle tylko nie zabrakło zboża, które także obliczać potrzeba w tym razie na miliony korcy.

Straszliwy pożar Ringteatru zwrócił uwagę powszechną na sposoby szybkiego gaszenia ognia; przypomniano też sobie, że nieraz w fabrykach, gdzie się znajdują wielkie przyrządy parowe, z dobrym bardzo skutkiem używano do tego pary. Dziennik paryzki, *Le Génie civil*, podaje projekt, aby w teatrach urządzony był kocioł parowy ogrzewany przez cały czas przedstawienia, od którego możnaby przeprowadzić rury do wszystkich miejsc na scenie, gdzie większa ilość światła przedstawia niebezpieczeństwo pożaru. Bardzo dowcipnie obmyślony jest mechanizm kranów, które mają być podtrzymane za pomocą drągów, sprężyn i nakoniec sznurka napuszczonego oliwą, i tém samém, niezmiernie łatwo zapalnego. W razie pożaru, najlżejsza iskra, padając na ten sznurek, spaliłaby go w jednéj chwili, i kranby się natychmiast otworzył. Para rozprężająca się gwałtownie, gasi ogień skuteczniéj daleko od wody, która nie może od razu wszędzie przeniknąć, a przytém tę korzyść przedstawia, że nie zrządza żadnych szkód

w budynku, jeśli ogień jest niewielki, nie pozostawia nawet śladów na murach, nie zacieka do fundamentów, jak owe potoki wody, któremi sikawki pożar zalewać muszą.

W ostatniéj naszéj pogadance wspominaliśmy o nowym rodzaju opału, wynalezionym na zasadzie ciepła, wywiązującego się przy działaniach chemicznych. Obecnie donoszą znów dzienniki naukowe francuzkie o małym, niezmiernie wygodnym przyrządzie do ogrzewania, który także na téj saméj zasadzie polega. Przyrząd ten, z lekkiéj blachy zrobiony w kształcie skrzyneczki, ma w środku dwa przedziały. Jeden zawiera wapno niegaszone, drugi wodę. Dość jest przewrócić skrzyneczkę, aby woda zalała wapno, i z tego połączenia wywiązuje się natychmiast silne gorąco. Praktyczny ten przyrząd powinienby się wszędzie rozpowszechnić, mógłby się stać niezmiernie pożytecznym; w razie choroby, zwłaszcza wśród nocy, trudno jest czasem w jednéj chwili znaleźć pod ręką ogień, a tu zamiast rozpalać w piecu dość jest przewrócić małą skrzynkę, aby otrzymać pożądane ciepło, które trwa tém dłużéj, im większe są rozmiary przyrządu.

Wiwisekcye, doświadczenia fizyologiczne na zwierzętach żywych, najwięcéj podobno we Francyi mają zwolenników. Niezliczone mnóztwo psów i królików, skazane jest na żywot męczeński w pracowniach paryzkich uczonych. Trudniéj jednak przychodzi odbywać te badania na zwierzętach z krwią zimną, gdyż w Europie drobne tylko żabki mogą być do tego użyte. Raz jeden w rocznikach naukowych zapisano ważny fakt umęczenia jakiéjś algerskiéj jaszczurki. Nie wystarczało to jednak chciwym nauki fizyologom, wzdychali oni od dawna do posiadania krokodyla, próbowano nawet wejść w targ z jakimś właścicielem menażeryi, ale ponieważ uczeni zazwyczaj, obok skarbów nauki nie posiadają bogactw tego świata, nie przyszło do ugody, i trzeba było poprzestać na nędznych żabach, gdy pewny Francuz, zamieszkały w Kochinchinie, będąc przejazdem w Paryżu, dowiedział się o kłopocie fizyologów.—„Krokodylów się wam zachciało! rzekł: ale jeżeli o to idzie, ja gotów jestem wam darmo dać choćby cały tuzin tych miłych stworzeń, tylko je sobie zabierzcie.”

Była to istna męka Tantala. Nakoniec, za wstawieniem się biegłego fizyologa Pawła Bert'a, rząd francuzki zobowiązał się sprowadzić upragnione krokodyle, które niedawno przybyły na miejsce, ku wielkiéj uciesze mieszkańców stolicy. Pochód ich od dworca kolei do zabudowań Sorbony był prawdziwie tryumfalny, tłumy ludu tłoczyły się za wozem, na którym umieszczono klatki; kilku gamenów usadowiło się na klatkach, a krokodyle ogłuszone, odurzone niezwykłém swojém położeniem, z przykładną cierpliwością znosiły tę poufałość. Na drugi dzień pewny dziennik dobrze uwiadomiony, zamieścił wiadomość sensacyjną, że Paweł Bert, zbliżywszy się nieostrożnie do jednego z największych i najsilniejszych krokodylów, życiem to zuchwalstwo przypłacił, gdyż potwór pochwycił go za nogę, i pomimo usiłowań kilku obecnych professorów, zadał mu śmiertelną ranę. Szczegółowy opis całéj katastrofy obiegł wnet cały Paryż, gdy inny sprawozdawca, lepiéj powiadomiony, doniósł, że uczony fizyolog nie miał nic do czynienia z krokodylami, które wzięli pod swoją wyłączną opiekę panowie Regnard i Blanchard. Ale odyssea naszych krokodylów nie była jeszcze skończona; jakkolwiek professorowie Sorbony otaczali wychowańców swoich najczulszą pieczołowitością, nie mieli jednak stosownego pomieszczenia dla nich, i zwierzęta trzymane w klatce zaczęły słabnąć, a nawet ginąć jedno po drugiém. Pośpieszono więc pozostałą gromadkę oddać do zoologicznego ogrodu, gdzie wkrótce odzyskała siły i zdrowie.

Nie po to jednak sprowadzono je z tak daleka, aby żyły bez troski w tém spokojném ustroniu. Gdy więc krokodyle wypoczęły nieco, dwaj uczeni zabrali się do doświadczeń, a niełatwa to była sprawa pochwycić niebezpieczne zwierzęta, przenieść je do pracowni Sorbony i uwiązać na stole. Nietylko ogon i łapy, ale i paszcza musiała być przymocowana sznurami do ciężkiego stołu; nakoniec uwiązano szczękę górną do pułapu, łącząc ją z dynamometrem i tym sposobem odmierzono siłę téj straszliwéj paszczy. Przekonano się, że wyrównywa ciśnieniu co naj-

mniéj 400 atmosfer. A trzeba o tém pamiętać, że zwierz poddany tym doświadczeniom nie mógł mieć siły normalnéj po przebyciu tylu trudów, i w skutek saméj zmiany klimatu.

Paryżanie od lat kilku urządzają sobie osobliwsze widowisko w ogrodzie akklimatyzacyjnym. Osadzają tam kolejno różnych zamorskich mieszkańców, sprowadzanych to z gorących zwrotnikowych okolic, to z lodowatych stref podbiegunowych. Widziano tam już Nubijczyków i Eskimosów z renami, a téj zimy przyszła koléj na krajowców Ziemi Ognistéj, na południowym cyplu Ameryki zamieszkałych. Lud ten stoi na najniższym szczeblu oświaty, i tak jest pod każdym względem upośledzony, że zwolennicy Darwin'a upatrują w nim resztki owych zagadkowych ludzi z okresu czwartorzędowego, którzy mieli poprzedzać najpierwszy świt cywilizacyi. Z większém daleko prawdopodobieństwem wnosić można, że nieszczęśliwe to plemię, wyparte z żyźniejszych okolic kraju przez silniejszych Patagończyków, którzy do dziś je prześladują niemiłosiernie, w skutek nędzy i smutnych warunków otoczenia doszło z czasem do takiego upadku. Dzieje ludzkości niejeden przykład podobny przedstawiają.

W każdym razie nieszczęśliwe te istoty prawdziwą są zagadką etnograficzną dla uczonego świata. Nie ulega wątpliwości, że należą do téj saméj rassy co i inni mieszkańcy Ameryki południowej, na stokach Andów zamieszkali; zwłaszcza mieszkańcy Peruwii i Boliwii mają zupełnie ten sam typ ogólny fizyognomii, chociaż stopniem oświaty stoją daleko wyżéj, a jak wiadomo, w czasach dawniejszych posiadali prawdziwą cywilizacyę. Dla czego jednak ta nieliczna gromadka zapędziła się na sam kraniec lądu, na niegościnne morskie wybrzeże, wyjaśnić dziś niepodobna.

Gromadka tych dzikich ludzi, osadzona w ogrodzie akklimatyzacyjnym paryzkim, potwierdziła w zupełności opowiadania podróżników, które uważano nieraz za przesadzone. Życie ich jest na wpół zwierzęce. Szczególną uwagę zwróciła charakterystyczna obawa, jaką okazują, czy im nie wygasło ognisko rozpalone na środku obozu. Jak tylko jedna kłoda dogasać zaczyna, zaraz dokładają drugą; widocznie rozniecenie nowego ognia jest dla nich dość trudném zadaniem. To też żeglarze, zbliżając się do wybrzeża, gdzie przebywa nędzne to plemię, uderzeni są najprzód widokiem licznych ogniów, porozpalanych w każédm obozowisku, ztąd powstała nazwa Ziemi Ognistéj. Sztuka budownicza jest im zupełnie nieznana, nie mają żadnych chat, urządzają sobie tylko czasowe altanki z gałęzi, zatkniętych w ziemię w takiém położeniu, aby zasłaniały ogień od wiatru, i tam obozują. Żywność ich składa się przeważnie z ryb, mięczaków i pewnych grzybów pasorzytnych wyrastających na drzewach w ich kraju. W Paryżu z największym smakiem zajadali ślimaki, których im podostatkiem dostarczano. Rzucają je w gorący popiół, a gdy skorupka pęknie, wyciągają ślimaka i połykają go żywcem. Z rybami także najczęściéj nie zadają sobie żadnego kłopotu: rozdzierają je i na surowo pożerają. Co jest jednak najdziwniejsze i najlepiéj maluje ich upośledzenie, to sposób, jakim piją wodę. Mają do tego rodzaj wiaderek zszywanych z kory, ale nie niosą ich do ust, zwyczajem wszystkich ludzi na całym świecie, tylko pochylają się, jak bydlęta, i wciągają wodę z naczynia.

Ubiór ich zupełnie pierwotny; składa się ze skór wigoniowych. Jedyne to zwierzę lądowe, na które mają sposobność polować w swoim kraju. Nie zadają sobie nawet pracy przykrawywania tych skór, ale po prostu się w nie owijają, obracając futro czasem do ciała, a czasem na zewnątrz. Nie brak im jednak upodobania do stroju, gdyż przy tych okryciach więcéj niż skromnych, noszą naszyjniki i naramienniki z muszel i piórek, a gdy ludność paryzka obdarzała ich jaskrawemi wstążkami i szklanemi paciorkami, z rozkoszą się w nie stroili tak mężczyźni, jak kobiety. Broń ich składa się z łuku i strzał, zakończonych ostrzem wyrzniętém ze szklanych butelek, które dostają od majstrów okrętowych. Podobne zupełnie ostrza wycinają także z obsydyanu, który jest massą szklistą naturalną. Te ostatnie ostrza się prawie nie różnią od kopalnych zabytków, zaliczanych przez archeologów do okresu kamienia niegładzonego.

Mała gromadka, sprowadzona do Paryża, złożona z jedenastu dzikich obojéj płci, odznaczała się usposobieniem łagodném i trwożliwém. Kobiety traktowane, jak niewolnice używane są do usług, do przenoszenia ciężarów i pilnowania, aby ogień nie wygasł. Prawdziwe to są zatém kapłanki domowego ogniska. Gdy przystąpiono do wykonania fotografii zbiorowéj całego towarzystwa, taki powstał popłoch powszechny, że go zaledwie z wielką trudnością zdołano uspokoić. W końcu najstarszy, odgrywający rolę wodza, dał się namówić, ale postawił przed sobą wszystkie kobiety, wyraźnie w téj myśli, aby go zasłoniły od możliwego niebezpieczeństwa.

Według świadectwa podróżnych, mieszkańcy Ziemi Ognistéj nie są właściwie ludożercami, jednak w razie wielkiego niedostatku żywności poświęcają zwykle najpierw stare kobiety, bo te, jak powiadają w swéj prostoduszności, na nic nie są potrzebne, potém dopiero pożerają psy, które im pomagają łowić wydry i foki, a więc daleko są użyteczniejsze.

Ze wszystkich odkryć i wynalazków największe niezawodnie mają znaczenie te, które dążą do uwolnienia ludzkości od dolegliwych chorób. Dziś jest już prawie dowiedzioną rzeczą, że zabójcza malarya, grassująca w ciepłych, wilgotnych miejscowościach, należy do chorób pasorzytnych. Bakterya malaryczna, jak już wspominaliśmy o tém dawniéj, była hodowana według metody Pasteura i zaszczepiona w żyły psów, sprowadzała wszystkie charakterystyczne objawy. Ale znajomość przyczyn choroby niezawsze prowadzi od razu do jéj uleczenia. Malarya nie przestaje broić po swojemu, chociaż tajemnicę jéj wyjaśniono. Najlepszym i najskuteczniejszym środkiem przeciw téj klęsce będzie podobno zawsze dobra dezinfekcya, ale jak tu zaprowadzić dezinfekcyę na całych obszarach gruntów, pokrytych bagnami? Zadanie to do pewnego stopnia spełniają australskie rozdręby (ukalipty), które obecnie we Włoszech na wielką skalę są zasadzone. Częstokroć jednak robotnicy, którzy pracują przy drogach, muszą przebywać z daleka od wszelkich plantacyj rozdrębów, należałoby zatém obmyślić jakiś środek ochronny, dający się łatwo przenosić z miejsca na miejsce, rozważywszy najpierw, na czém głównie polega dezinfekcyjne działanie rozdrębów? Drzewa te pochłaniają szkodliwe wyziewy, powiadają wszyscy, ale czém jest właściwie to pochłanianie, to nie tak łatwo określić dokładnie. Przypuszczają niektórzy, iż liście rozdrębów mają własności podobne do owych sławnych roślin mięsożernych, chwytających owady; w rzeczy saméj możnaby sobie wyobrażać pochłanianie wyziewów, jako pożeranie zarodków bakteryj. Prawdopodobniejsze jednakże jest inne wyjaśnienie. Rozdręby, jak wiadomo, zawierają w swych tkankach obfitość pierwiastków żywicznych, niedarmo Anglicy nazywają je gumowcami (gum-tree); wiadomo także, iż ulatnianie się olejków roślinnych wytwarza ozon. Przekonano się, że liście rozdrębów pod wpływem słonecznych promieni wyziewają balsamiczne pierwiastki, z których ozon powstaje. Ztąd wniosek prosty, że właśnie ów ozon stanowi najskuteczniejszą dezinfekcyę w sąsiedztwie tych drzew dobroczynnych.

Pewny młody chemik francuzki podaje projekt, ażeby robotnicy, którzy pracują w okolicach zarażonych malarycznemi wyziewami, nosili przy sobie przyrząd do wytwarzania ozonu, obmyślony przez niego, bardzo prosty i niekosztowny. Jest to mała bańka gliniana, dziurkowata, spłaszczona, z jednéj strony polewana. Bańka ta, napełniona olejkiem terpentynowym lub innym, zawieszona na szyi robotnika tak, aby strona niepolewana była wystawiona na światło, stanowiłaby nieustanne źródło ozonu, gdyż olejek, przeciekając przez dziurkowate naczynie, przy zetknięciu z powietrzem i powolném utlenianiu, wydzielałby ciągle ozon.

Przegląd Hygieniczny francuzki (Revue d'hygiene) zaznacza fakt niezmiernie ważny, którzy najlepszym jest dowodem, jak zabójcze skutki dla zdrowia ma wszelkie zanieczyszczenie powietrza. W pewnéj wiosce, gdzie od lat wielu żadna epidemiczna choroba nie grassowała, zamieszkał rzeźnik, który miał ten zły zwyczaj, że zlewał do wielkiéj kałuży wodę, służącą do płókania różnych części mięsa i zawierającą w sobie mnóztwo odpadków i cząstek organicznych. Jak łatwo się domyślić, wszystko to gnijąc zarażało powie-

tąż wstrętną wonią; przyszło do tego, że mieszkańcy wioski zanieśli skargę na rzeźnika, gdyż niepodobna było przejść obok cuchnącéj kałuży; konie nawet, zbliżając się do niéj, rwały się niespokojnie i uciekały od miejsca zapowietrzonego. Władza miejscowa kazała kałużę wypróżnić, a ciecz zgniłą wylać na pola okoliczne dla użyźnienia gruntu. Wkrótce jednak w téj wiosce wybuchła straszna epidemia dyfterytyczna, rozpoczęła się od mieszkań najbliższych pola i trwała kilka miesięcy. Ludność przypisywała tę klęskę owemu rzeźnikowi, i taką mu okazywano nienawiść, że musiał się wynieść do innéj wioski oddalonéj. Minęło lat kilka, a rzeźnik, który uważał się za niewinnie prześladowaną ofiarę, zaczął znowu w najlepsze urządzać zlew gnijącéj wody, i przez czas jakiś mu to uchodziło. W końcu jednak powtórzyło się słowo w słowo tož samo cośmy wyżéj opowiedzieli. Wstrętna woń tak się dała we znaki mieszkańcom wioski, że oskarżono rzeźnika i ciecz cuchnącą kazano rozlać po polach. I wnet w téj drugiéj miejscowości pojawił się także zabójczy dyfteryt. Trudno sobie wyobrazić, aby taki zbieg okoliczności mógł być przypadkowy. Fakt ten wielką w sobie zawiera naukę.

Pasorzyty większe i mniejsze prawdziwą są plagą rodu ludzkiego. Żadna wojna podobno, żadna rewolucya, nie wyrządziła Francuzom tyle szkody, co najście drobnéj phylloxery, która im do szczętu prawie pożarła winnicė. Dotąd, pomimo wyznaczenia znakomitych nagród za uwolnienie kraju od téj plagi, nie znaleziono jeszcze sposobu wytępienia tych szkodnych stworzeń. Zaczęto więc szukać tymczasem innych roślin, któreby mogły wydawać napoje fermentowane. Pewny przemysłowiec, jak donoszą dzienniki, miał otrzymać napój, bardzo do wina czerwonego zbliżony, z czerwonych ćwikłowych buraków. Wiadomość ta, jeżeli się sprawdzi, ważne mieć będzie znaczenie dla wszystkich okolic gdzie winna macica nie rośnie, a zatém i dla naszego kraju. Buraki udają się wszędzie, uprawa ich nie jest zbyt kosztowna ani trudna, możnaby więc z takąż samą łatwością, jak obecnie cukier burakowy, wyrabiać ćwikłowe wino, które należałoby nazywać barszczykiem. Nim to jednakże nastąpi, napój ów niezawodnie przybywać do nas będzie z Francyi pod nazwą rozmaitych wykwintnych win czerwonych, i nie domyślimy się nawet prawdziwego jego pochodzenia.

M. J. Z.

Korrespondencya.

Jerozolima 25 Lutego 1882 r.

Po długiéj suszy, bo czteromiesięcznéj, z dnia 3-go na 4-ty b. m., spadł obfity śnieg w całéj Palestynie. Niemało on tu szkody wyrządził, skoro się na to wspomni, że w większéj części swoim ciężarem drzewa cytrynowe i pomarańczowe połamał. W następnych dniach aż do 12-go mieliśmy na przemian to śnieg, to deszcz, to nareszcie grad. Ze zmianą kwadry, zawierucha ustała zupełnie. Zrozpaczeni brakiem deszczu, mają dziś dość wody, bo w ciągu 9-ciu dni wszystkie studnie czyli raczéj cysterny nią się napełniły. Ze studni Nehemiasza położonéj na dolinie Józefatowéj, podobnież i tego roku woda wierzchem wypłynęła, co jest zawsze znakiem obfitych przyszłych zbiorów, to jest urodzaju owoców i zboża. Obecnie czas piękny, jakby wiosenny. Jak nam Marzec sprzyjać będzie, to jeszcze niewiadomo.

Korzystając z pogody, pielgrzymi polscy, zebrawszy się w karawanę 13 b. m. udali się do Nazaretu lądem przez Samaryę, gdzie prócz Nazaretu i jego okolic, zwiedzają zwykle Górę Przemienienia Pańskiego czyli Tabor, Kanę Galilejską, Tyberyadę, jezioro Tyberyadzkie, Kafarnaum, Sefori, Naim, miejsce ofiary Eliasza, pole Kłosów, pole Błogosławieństw i t. d., dopóki nie dostaną się na górę Karmelu.

W przyszłym miesiącu ma się tu odbyć pobór do wojska, nie wyłączając z téj kategoryi i chrześcian wszelkiego wyznania, wedle obiegającéj pogłoski. Niewiadomo o ile wieść ta jest uzasadnioną, gdyż dotąd chrześcianie wolni bywali od poboru, płacąc za to pewną kwotę pieniężną rządowi. Gdyby się wszakże pogłoski spełniły, widzielibyśmy znów sceny rokoszu przeciw władzy ze strony chrześcian i Izraelitów.

Turcy z przepowiedni (zaczerpniętych od chrześcian) wiedząc, że w Listopadzie b. r., skończy się ich panowanie i byt polityczny zobojętnieli względem swéj przyszłości, są na wszystko przygotowani, podnosząc oczy i ręce ku niebu, powtarzają tylko jednogłośnie wykrzyki: „Ałłah! Ałłah!” (Boże! Boże!).

Zmarł tu w zeszłym miesiącu hrabia Kaboga, były konsul Cesarstwa Austryackiego, w Jerozolimie, spokrewniony z domem hrabiów Potockich. Zwłoki jego pogrzebione zostały w Tanturze po drodze do Betleemu, w kościele przez niego zbudowanym.

Ks. Jukundyn Bielak.

Korrespondencya z Taszkentu.

Przejechawszy cały Turkestan z zachodu na wschód, na samą chińską granicę, gdzie obecnie odbywa się zdawanie Kuldży Chińczykom, przesyłam wam słów kilka z Taszkentu. Przebyłem straszne Adam-Karyłgańskie piaski—szczęśliwie dla tego, że mnie Samum w drodze nie schwytał, jeden wielbłąd tylko mi zdechł; potém równinę kamienistą, gładką jak szossa, zatrzymywałem się tylko przy studniach; następnie cudowną dolinę Zerawszanu (bucharskie emirstwo), gdzie spotkałem się z naukową wyprawą francuzką. Spędziłem z tymi panami bardzo przyjemnie pół dnia, dałem im dużo wskazówek dotyczących rzeczy godnych widzenia, oraz zbierania różnych osobliwości. Zapraszali mnie do Paryża, dając swoje adresa. Miałem z sobą zgęszczoną kawę z mlekiem, któréj łyżeczka na szklankę wody daje wyborną kawę. Niesłychanie się temu dziwili, gdyż nie wiedzieli wcale o istnieniu podobnych konserw, a że im nadzwyczaj kawa smakowała, więc im dałem kilka baniek na drogę, zaręczając, że w Petro-Aleksandrowsku mogą jéj dostać ile zechcą.

Obejrzałem szczegołowo Raj Tamerlana t. j. Samarkandę, i przekonałem się, że rzeczywiście na to miano zasługuje z powodu niesłychanie bogatéj roślinności, tanich mieszkań i wszelkich potrzeb do życia. Dom elegancki o 4-ch lub 6-ciu pokojach, z dużym owocowym ogrodem kosztuje tu miesięcznie od 10-ciu do 15 rs. Owoców w tym ogrodzie tyle, że w Warszawie możnaby za nie dostać kilka setek rubli. Są tu w wielkiéj obfitości wiśnie, czereśnie, śliwki, jabłka, gruszki, agrest, porzeczki, maliny, truskawki, winogrona, granaty, figi, migdały, orzechy etc.; zaczynają sadzić cytryny, pomarańcze, a w oranżeryach mają palmy daktylowe, oprócz tego taka mnogość drzew, że aleje na ulicach tworzą prawie ciemne tunele. Mieszkania wszędzie przedstawiają się jak oranżerye napełnione rozmaitemi kwiatami i roślinami, a dorożki samarkandzkie (40 kop. za godzinę), tak piękne, jak w Warszawie prywatne ekwipaże. Są tu jeszcze starożytne osobliwsze budowle, dowodzące, jak tu ongi wysoko architektura stała. Obecnie może żaden europejski budowniczy nie podjąłby się utworzyć płaskiego sufitu na 50 łokci w kwadrat z jednéj cegły. Sufit taki jest podłogą następnego piętra, gdzie się mieszczą ogromne marmurowe grobowce hanów, z ich rodzinami. Przepyszne są też różnokolorowe rzeźby z zewnątrz i wewnątrz tych budynków. Francuzi za jedną tabliczkę wynoszącą łokieć kwadratowy dawali 400 rs., lecz im sprzedać nie chciano, gdyż obecnie pamiątki tu kosztem rządu są podtrzymywane. Są tutaj cztery nadzwyczaj pochyłe wieże, na kształt wieży pizańskiéj, naginające się w przeciwnych kierunkach. Inna wieża prostopadła w tym roku w czasie trzęsienia ziemi runęła, te zaś pochyłe utrzymały się.

Przejeżdżałem wąwozem, który koło Dżizaku kończy się wrotami Tamerlana, gdzie nadzwyczaj wysokie pionowe skały zwężają się, tworząc szczelinę na 15 kroków szerokości, za którą odkrywa się równina *Głodnym Stepem* nazwana.

Pod Czynarem przeprawiałem się przez Syr-Daryę i przybyłem do Taszkentu. Jest tu także ogromne miasto przedstawiające się jak wielki ogród, lecz mieszkań z ogrodami mało, i w ogóle są one drogie. Jest tu dużo sklepów, wystawy niektórych nie ustąpią najpiękniejszym w Warszawie. Jest też kilka magazynów specyalnie warszawskich wyrobów, pod nazwą „Варшавскій Магазинъ;” w nich dostać można wszystkiego, co potrzeba:

bieliznę, ubrania, obuwie, rękawiczki, galanterye, nawet zabawki dziecinne, trzeba bowiem wiedzieć, że ruska publiczność nadzwyczaj ceni warszawskie wyroby z powodu, że się odznaczają taniością i dobrocią. Jest tu 7-mio klassowe gimnazyum męzkie i żeńskie, dwa progimnazya, szkoła nauczycieli, bank handlowy, bank dyskontowy, teatru tylko stałego jeszcze nie ma, chociaż jest truppa aktorów. Taszkent będzie niezadługo jedném z najpiękniejszych miast w Rossyi, domy wyrastają jak grzyby po deszczu. a jest ich już około tysiąca, dorożek przeszło 300, lecz nie takie eleganckie, jak w Samarkandzie; jest tu i kościołek katolicki kosztem rządu wystawiony. Tydzień tylko żyłem w Taszkencie i wyjechałem na północo-wschód do Wiernego, zostawiając drzewa zielonością pokryte, gdy w Wierném były już ubielone śniegiem. Obecnie pierwszy raz po 5-ciu latach jeżdżę saniami.

Wierne gdzie list mój zakończam leży u podnoża gór wiecznym śniegiem pokrytych, które są częścią pasma i gruppy Tiań-Szań. Góry te na połowie swéj wysokości są pokryte gęstym sosnowym' i jodłowym lasem, którego widok jako dawno niewidzianego, bardzo mnie ucieszył, lasy te zamieszkują dzikie kozy i niedźwiedzie, oprócz pomniejszych zwierząt; samo miasto na pozór wygląda jak duża wieś polska, ludność w mieście wyłącznie ruska, cudzoziemcy są Dunganie, Taranczyńcy, Kara-Kirgizy, Sibo, i Chińczycy, lecz ci ostatni tylko kupcy.

Drożyzna na europejskie przedmioty tutaj ogromna; konie drogie i nie ma takich, jak nad Amu-Daryą.

Zaprowadziłem znowu gospodarstwo jakie takie, gdyż wiosną mam wrócić do Taszkentu. Znalazłem tutaj kilka rodzin czysto polskich i wprawiam się w rozmowę, gdyż chociaż czytuję książki polskie, pisuje po polsku, w rozmowie plątają mi się obce wyrazy i przypuszczam, że w mojéj korrespondencyi trafiły się takie błędy, które sądzę, że oddalonemu od kraju wyrozumiali przebaczą...

W. B.

SPOKÓJ DUSZY.

(Mir dusze).

OBRAZEK Z ŻYCIA CHORWACKIEGO.

przez

Wojańskiego (Vajanskeho.)

Tłómaczyła z oryginału

HAJOTA.

II.

— Jestem kobietą. Mężczyzna to co innego. Cóż np. tak bardzo złego pana spotkać może? rzekła Eugenia, zatrzymała się i patrzała prosto w oczy Ludowitowi. Stracisz pan majątek, masz możność go odzyskać! A jeśli go pan nie odzyskasz, to i tak nie przestaniesz być jednostką w społeczeństwie, potrzeba się tylko starać o zera podnoszące wartość téj jednostki. Postradasz pan drogą sercu istotę, przyjdzie czas i ranę uleczy. Jakiejże straty nie jest w stanie zapomnieć mężczyzna? A gdyby pana nawet to co najgorze spotkało, gdybyś stracił cześć, honor, dobre imię, i wtedy jeszcze rada się na to znajdzie: świat jest szeroki, można zacząć żywot na drugiéj półkuli albo pod równikiem. Z nami inaczéj! My nic same przez się nie znaczymy i nie możemy.

Eugenia zadumała się i utkwiła oczy w kamienistéj dróżce, wiodzącéj do ruin starego zamczyska. Z gmachu tego zostały tylko resztki rozwalonych murów i na wpół z gruzami zasypana kamienna Rudnia. Ruiny te były celem dzisiejszéj wycieczki, na którą wybrało się dość liczne towarzystwo. I Arystyd obiecał połączyć się niém nad wieczór.

— I pani masz przed sobą możność nowego życia, odparł Ludowit, tylko w nie wierzyć potrzeba. Nie znam przepaści, któréjby przejść nie było można?

— Na cóż się zdadzą mosty, kiedym już na dnie przepaści!

— Schwyć się pani pomocnéj ręki, ona cię wydźwignie.

— Żadna ręka mnie nie dosięgnie, rzekła ze smutnym uśmiechem. Jestem głęboko bardzo głęboko.

— A gdyby kto chciał zstąpić aż na dno samo i mocném ramieniem wynieść cię na światło dzienne, na piękny Boży świat?

Eugenia spojrzała uważnie na Ludowita. Twarz jego jaśniała niezwykłém ożywieniem.

— Pan jesteś artystą i patrzysz na wszystko ze swego stanowiska. Artyści prześlizgają się tylko po kwiatach życia i pojąc się ich słodyczami innym także błogie chwile gotują. Artyści znają tylko wyższą, piękniejszą stronę ludzkiéj doli. Ale my i tę drugą, gorzką i ciemną znać musimy. Pan nie chcesz zrozumieć tego, że są związki, które się nie dają rozerwać, są powinności, które człowiek sam na siebie przyjął, i do śmierci służyć im musi, témbardziéj, gdy je sam Bóg potwierdził.

— Pani kochałaś Edwarda? zawołał zdumiony Ludowit, i zatrzymał się. Tak więc nie znał jeszcze téj kobiety! Każda rozmowa z nią odsłaniała mu nowe tajniki jéj duszy.

— Kochałam, odparła sucho Eugenia, i poszła szybko naprzód.

— To niepodobna! zawołał niezniechęcony tém artysta, pośpieszając za nią. (Toż ona pierwszy raz powiedziała nieprawdę! pomyślał, i smutek padł mu na duszę). Chciéj pani nie łudzić saméj siebie! Byłaś pani jeszcze dzieckiem, jakżeby tu miłość rozwinąć się mogła!

— Kochałam w nim nieszczęśliwego; kochałam jego nieuleczony ból, jego nieszczęście! Bo też co ludziom szczęśliwym po miłości? Miłość szczęśliwych jest podwójném samolubstwem; miłość ku wszystkiemu co piękne, jest upojeniem. Ukochaj pan to, co szpetne, aby je upięknić; ukochaj niegodnego, aby go od upadku uchronić. Wtedy powiem, żeś pan poznał całą głębokość bozkiego słowa „miłość.” Nie zawsze je znałam. Z początku cierpienia wyrodziły nienawiść ku ich sprawcy, w strasznych mękach, w krwawych łzach walczyła ona we mnie z miłością, ową wyższą miłością, któréj nie pojmie żaden męzki umysł, nie odczuje żadne męzkie serce. Z początku zwyciężała nienawiść. Wtedy ujrzałam przed sobą obraz życia na jéj tle osnutego, i zadrżało we mnie serce, i zaczęło bić gwałtownie, zlękłam się! Jak to! czyż nieszczęście moje ma mieć takie następstwa? Czyż złe ma wyrodzić jeszcze głębszy upadek? Zmartwiałam, łzy gorące uświęciły moją niedolę. Przeszła nienawiść, zawitała miłość. Uzbroiłam się cierpliwością, dobrem za złe odpłacałam. Czyż więc nie mam prawa mówić, że kochałam?

Dreszcz przebiegł po ciele Ludowita. Słowa młodéj kobiety płynęły z jéj piersi cichym, drżącym głosem, którego muzyka upajała go. Wzruszenie podniosło piękność Eugenii. Jasne oczy nabrały jakiéjś niezmierzonéj głębokości wyrazu szlachetnéj duszy, około ust zaigrał cień zapomnianych już a świeżo odnowionych bolów.

— Ona się łudzi, pomyślał Znahorec ciężko wzdychając.

— Pan mi nie wierzysz? To mnie boli. Ja myślałam, że to wszystko będzie tak jasném dla pana, jak to letnie niebo. Ale niestety! to być nie może, na żonie, rozłączonéj z mężem leży cień, choćby bielszą była od śniegu, cieniu tego nic nie rozproszy.

— Dajmy pokój temu! a skoro mamy mówić otwarcie, pozwól mi pani postawić kwestyę wręcz: Czy nie dałoby się zaradzić temu z panią? Czyż niedość przyczyn do formalnego zerwania związku, który już w rzeczywistości na wieki zerwany jest? Na co ten czczy pozór, który dręczy nietylko panią, ale i tych, którzy są drogimi jéj sercu? na co?

— Z przyjętych dobrowolnie ślubów nikt i nic nie rozwiąże. Jużem się pogodziła z moim losem, a tym jest: dźwigać aż do grobu ciężki krzyż tego życia. Po co płakać! po co rzucać się bezskutecznie w jaskini bez wyjścia! Gdy kamień w głębinę morską wpadnie, któż go z niéj wydobędzie?

Gdy to mówiła, stanęli oboje na szczycie wyniosłości, z któréj rozciągał się wspaniały widok na przeciwległe góry. Poglądali na nie w milczeniu, dopóki nie połączyła się z nimi reszta towarzystwa, którą byli wyprzedzili. Stary Hrabowiec ciężko oddychał i narzekał na niedorzeczność drapania się po skałach, jak muł. Ciotka Karolina wzdychała i podziwiała piękny widok. Fryderyk obładował się stosem okryć i szali. Marka niosła kosz z zapasami, a oprócz niéj dwóch ludzi ze służ-

by dźwigało większą część podwieczorku. Młoda panienka, krewna Hrabowca, która ledwo co wyszła była z pensyi, opierała się na ramieniu szykownego młodzieńca ze szkiełkiem w oku, który każdą rzecz zaczynał od „ja." Nazywał się Emil Mrawec (mrówka), i miał wiele podobieństwa z tém stworzeniem za wyjątkiem pracowitości, gdyż go za lenistwo wydalono z gimnazyum. Mówił przez nos, czego się nauczył między tak zwanymi *firtliszami*, czyli pewném kółkiem węgierskiéj miejskiéj młodzieży. Całe towarzystwo znalazło się wkrótce pośród ruin, i rozłożyło się pod cieniem starego muru ze strzelnicami.

III.

Ciotka Karolina usłała bratu istną kanapę z szalów, pledów i różnych okrywek.

— Ostrożność nigdy nie wadzi, mówiła, gdy się na to obruszał: pamiętasz, jakeś przeszłéj jesieni chorował? Przez cztery tygodnie doktor prawie nie wychodził z domu.

— Szkoda, żeś jeszcze pierzyny nie wzięła, rzekł Hrabowiec siadając z ciężkością na przygotowaném dla niego miejscu.

Ludowit Znahorec rozglądał się po okolicy. Lekko sfalowana płaszczyzna rozciągała się przed jego oczyma. Ze wszystkich stron opasywały ją olbrzymie wierchy. Miejscami zżęte już zboże leżało w kopach. Wsie wynurzały się jak zielone wyspy ze złocistych fal pszenicy i żyta.

— Wycieczki byłyby bardzo piękną rzeczą, zauważył Hrabowiec ocierając pot z czoła, gdyby człowiek umiał latać. Ale tak, trzeba się ciężko napracować na tę odrobinę powietrza.

— Ja tom urządzał wycieczki w Preszburgu, pochwalił się Mrawec przestępując z nogi na nogę: *grand* wycieczki. Połowa miasta brała w nich udział, szampan lał się strumieniami, cała wojskowa orkiestra grała. Ja i hrabia Lopresty prowadziliśmy kadryla, sześćdziesiąt par tańczyło.

— Herrliche Aussicht! zaszepleniła cienkim głosikiem ex-pensyonarka Ernestyna, chłodząc rozrumienione liczka czarnym wachlarzem z hebanowego drzewa: was für schöne Cirrus-Wolkem steigen am Horizonte empor!

Ciotka Karolina zakrzątnęła się około podwieczorku, który wszystkim smakował wybornie, choć szampan nie lał się strumieniem, jak na Mrawcowych wycieczkach. Stary Hrabowiec rozochocił się i opowiadał zabawne dykteryjki o wyborach i wyborcach.

— Ja popierałem Toryskiego w naszym okręgu, wtrącił Mrawec. Już rzeczy źle stały, pięć wsi odpadło od niego. Więc ja w ostatnią noc kazałem siedm wozów zatoczyć, powrzucałem chłopów na wozy.

— Czy pan ich jedną ręką wrzucałeś? zapytał niby niewinnie Fryderyk Kremeń.

Mrawec się zmieszał. Jego cienka wychudła postać i nerwowa drżąca ręka nie zgadzała się z taką pracą. Nastało chwilowe milczenie. Ludowit oddalił się trochę od towarzystwa, rozłożył swoją tekę. Marka stała przy nim, rozpiętą parasolkę trzymając nad papierem, na który wprawna ręka artysty śmiałe rzucała linie. Mrawec zbliżył się do niego.

— Ja także doskonale rysuję, rzekł pochylając się nad teką: tuszem i kredą. Piękny to talent, ale dużo cierpliwości wymaga. Ten szczyt toś pan źle narysował, nietaki stromy. A te otwory w murze nietakie wielkie. Wieżyczka za to doskonale trafiona. Aleś pan o drzewku zapomniał, spojrz pan tylko, tam na górze stoi drzewko.

Ludowit nic nie odpowiadał i rysował daléj. Myśli jego były wzburzone i niespokojnie krążyły po głowie, jak jaskółki przed burzą. Pochlebiało mu, że Eugenia była z nim tak otwartą, a jednak czuł tajemną troskę w sercu. Jéj szczerość wyglądała na dobrotliwe ustępstwo, jakie silny czyni słabszemu, nie niebezpiecznemu, który i przy złéj woli nie może nadużyć położonego w nim zaufania. Jakże inaczéj zachowuje się Eugenia względem Arystyda! Onaby się przed nim nie wywnętrzyła tak swobodnie, nie pozwoliłaby zajrzeć mu tak głęboko w swoje serce, a przecież każde jego słowo więcéjby u niéj ważyło. On jest w jéj oczach potężną skałą, tymczasem gdy artysta równa się z wiatrem, który przyjemnie ochładza lica, ale o którym nie wiemy zkąd przychodzi i gdzie powieje. A przecież Eugenia owładnęła całą jego istnością, obraz jéj wrył się w jego duszę niezatartemi rysy, piórem i pendzlem usiłował przenieść go na

papier, ale przekonał się, że usiłowania te na nic się nie zdadzą. Brak mu było tego spokoju, który jest niezbędnym warunkiem artystycznego opracowania.

Towarzystwo bawiło się w najlepsze, gdy piękna głowa Osmana ukazała się między krzakami. Arystyd nadjeżdżał za nim konno. Osman pobiegł prosto do Eugenii położył pysk na jéj kolanach, machając radośnie ogonem, poczém pobiegł w podskokach naprzeciw swemu panu. Mrawec chciał go pogłaskać, aby swe upodobanie w sporcie pokazać, ale Osman spojrzał na niego z podełba i zawarczał gniewnie. Widocznie młodzieniec ten nie miał u niego względów. Arystyd dobrym swoim humorem ożywił jeszcze towarzystwo, śmiał się, żartował i docinał Mrawcowi, gdy ten się z jaką przechwałką odezwał.

Ludowit bystrém okiem śledził każdy ruch Eugenii. Zdawało mu się, że twarz jéj zajaśniała. Wiele podobieństwa jest między tym dwojgiem ludzi, pomyślał przypatrując się Arystydowi, i zapewne dla tego rzadko są z sobą w zgodzie. I teraz się sprzeczają, ale jest to sprzeczka pełna wewnętrznéj harmonii. Założyłbym się, iż rzeczywistéj różnicy zdania nie ma między nimi. Dla czego Eugenia nie spiera się nigdy z Mrawcem, którego słowa tak sprzeciwiają się jéj pojęciom i usposobieniu? Owszem, jest dla niego grzeczną i broni go, gdy się kto z niego wyśmiewa. Zdaje mi się, że jestem u niéj z Mrawcem na jednym stopniu. Ta myśl napełniła goryczą serce Ludowita. Melancholicznem spojrzeniem zapatrzył się na góry mieniące się rozlicznemi barwy w blaskach zachodzącego słońca.

— Coś taki zadumany, panie professorze? zagadnął wesoło Arystyd, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Myślę o bezsilności naszych artystycznych środków. Spojrz pan na te góry! Jaka to rozmaitość barw, jaka gra subtelna odcieni! Wieczny ruch, wieczne drganie, oto tajemnica tych effektów, a płótno nasze tak martwe! Dla tego też tak mało dajemy światu, dla tego schodzimy do jednéj kategoryi z komedyantami i akrobatami. Sili się biedny artysta, krew serdeczną zużywa, a nie pochwyci i nie odda z prawdą natury, choćby blasku oka, ani tam lekkiego obłoczka. Nie dziw więc, że w społeczeństwie nie zajmie on nigdy tego stanowiska, jakie dzierżycie wy, ludzie czynu, ludzie rzeczywistości.

— Gdzieżby się znalazł artysta zadowolony ze swego losu? Dasz mu gwiazdę z Mlecznéj drogi, a rzuci ją jak złamany szeląg. Żaden człowiek prozaicznego czynu nie ma takiego uznania, jak pieszczony kochanek muz. W tém tylko bieda, że artyści szukają zawsze sławy tam, gdzie jéj zdobyć nie mogą. To ich ogólna choroba. Znakomity komik, ulubieniec publiczności, co wmówi raptem w siebie, że jest wielkim politykiem i zacznie pisać rozprawy, które naturalnie idą do kosza! Potém dopiero narzekania na świat, nieumiejący ocenić artystycznych porywów. Stara to piosenka!

Ludowita obraziły te słowa, témbardziéj, że czuł ich słuszność.

Z powrotem Arystyd ustąpił konia Hrabowcowi, który dość pewnie jeszcze siedział na siodle, sam zaś podał ramię Eugenii. Mrawec nadskakiwał Ernestynie, odebrał od niéj szal i wachlarz, poprawiał nieustannie monokl na nosie, szastał się i śmiał z własnych dowcipów.

— Einzig! szeptała pensyonarka, zalotnie przekrzywiając główkę.

Znahorec szedł przodem z ciotką. Sokoł zwolnił nieco kroku, aż zostali się w tyle.

— Dziwny to dzień dzisiejszy! pomyślała Eugenia. Gdyśmy tu szli Znahorec podążał, jak gdyby mu się śpieszyło, a teraz Arystyd ociąga się wyraźnie i tak uroczyście wygląda!

— Co pani sądzi o Ludowicie? zagadnął ją Sokoł po chwili. Dni całe trawi u was, miałaś już pani dosyć czasu i sposobności ocenić go i poznać!

Na podobne pytanie była już przygotowaną Eugenia, nie zdziwiło ją też zupełnie.

— Jeżeli panu co na tém zależy, wyznaję szczerze, że jestem panu wdzięczna za tę znajomość. Obcowanie z nim jest przyjemne i łatwe! Obecność jego nigdy nie krępuje i nie zawadza. Sądzę, że pochodzi to ztąd, iż jest skromnym.

— Ze skromnym młodzieńcem nie obcuje się przyjemnie i łatwo. Skromność jest wtedy tylko cnotą, kiedy się łączy z duchowemi

przymiotami i z siłą. Kobietom nie imponuje skromność, ale siła.

— W nim jest wiele duchowéj siły. Słowa jego płyną tak cichym, powolnym prądem, i wtedy zdaje się być politowanie budzącym marzycielem; to znowu rozpędzą jak potok górski, wtedy oko mu błyska, twarz płonie rumieńcem, znać, że nie cofnąłby się przed żadném poświęceniem dla swojéj idei. Czasem zstępuje do głębin ludzkiego bytu i mimowolnie ciągnie nas za sobą w te otchłanie, to znowu przychodzi mu ochota wylecieć gdzieś w nadziemskie sfery, w krainy ideałów i porywa duszę słuchacza w górę, zkąd patrzy się na to życie, jak na jakąś bezgraniczną zamgloną dal.

— A patrząc tak, nie lękasz się pani zawrotu? spytał Arystyd stłumionym, jakby ze wzruszenia głosem.

Malińska cofnęła trochę rączkę spoczywającą na ramieniu Arystyda. Jakiż to ton? Nigdy go jeszcze u Sokoła nie słyszała.

— Pani umiesz dobrze osądzić człowieka. O tém wcale nie wątpiłem, ciągnął daléj Arystyd już zwykłym swym dźwięcznym głosem. My ziemianie jesteśmy w bardzo niekorzystném położeniu w porównaniu z rycerzami ducha. U nas wszystko takie powszednie i nudne. Zamiast do fantastycznych otchłani czarodziejskim oświetlonych blaskiem, chodzimy do obór i do stajeń; zamiast latać po obłokach rzucamy się prozaicznie na łóżko i zasypiamy po całodziennych trudach. To byłaby jeszcze najmniejsza bieda. Ale zdarza się, że i nam serce zabije i zacznie skakać, jak młoda kozica. Wtedy nadchodzi kryzys. Sięgasz po słowa, a słowa ci nie dopisują; chcesz wyrazić swoje myśli, a one tak się w głowie poplączą, że ani weź. Tymczasem gdy się tak męczysz, przyjdzie ładnie upierzony ptaszek, cap! i już jego złota muszka...

— Cóż panu po słowach? odparła nieco uspokojona Eugenia: pan sobie lepszą cząstkę obrałeś, masz czyny. Nie daléj niż przed godziną wykazywał nasz poeta doniosłość i ważność stanowiska takich jak pan ludzi w społeczeństwie. Na nich opiera się słaby, oni żywią głodnych i siłą swą popychają innych do pracy. Pan mu wtedy bardzo słusznie na jego utyskiwania odpowiedziałeś, a teraz popadasz w tę samą przepaść, z któréj go chciałeś wyciągnąć. Co panu po zamkach powietrznych, gdy stawiasz rzeczywiste z cegieł? Co po sile w słowach, kiedy się ona w czynach objawia?

— Tak! tak! chodź wołku w jarzmie, chodź i jedz, masz tu korytko owsa! Co piękne i wzniosłe zostaw owym silnym w słowie duchom; gdy ci się zjawi jakiś obraz uroczy, a ty się na niego zapatrzysz, połknij ślinkę i ciągnij daléj, aż do ostatniego tchnienia! A przecież i nas czasem napada pokusa zatrzymać się i skosztować tego zakazanego nektaru. Ty mnie nie rozumiesz Eugenio! nie rozumiesz, albo nie chcesz zrozumieć.

Lica Malińskiéj zabarwiły się purpurą. Sokoł nazwał ją po imieniu! Zdarzyło się to po raz pierwszy. Czyż upoważniła go czém do takiéj niebywałéj poufałości? Przebiegła prędko myślą wszystkie swoje słowa, ale nie znalazła w nich nic zdrożnego. Zmrok zapadał już nad ziemią, kontury okolicznych szczytów rozpływały się we mgle wieczornéj. Nad głową młodéj pary zakrakała wrona i szybkim wirowatym lotem przeleciał nietoperz. W trawie świeciły świętojańskie robaczki uciekające ze swemi lampkami za zbliżeniem się kroków ludzkich. Nasi wędrownicy szli milcząc. Arystyd nie czuł na ramieniu rączki Malińskiéj: ona przestała się opierać. Przed Hrabowickim dworem oczekiwała ich reszta towarzystwa. Stanęli. Sokoł pochylił się ku Eugenii i rzekł cichym, głębokim głosem:

— Obraziłem panią (na ten wyraz położył nacisk). Proszę o przebaczenie i...

Mrawec nie dał mu dokończyć.

— Co? co? co? zawołał podbiegając ku nim: pan już chcesz wracać do domu. Ja mam znakomity powóz, odwiozę pana.

— Dziękuję. Mam konia.

Jakoż wierzchowiec Arystyda grzebał już nóżką w podwórzu i zarżał poczuwszy swego pana. Ludowita Hrabowiec na noc zatrzymał. Sokoł wskoczył na siodło i zniknął w ciemnościach, które tymczasem zapadły. Eugenia wymówiła się zmęczeniem i bolem głowy i odeszła do swego pokoju. Rozplotła długie swe warkocze i usiadła przy otwartém oknie. Przed oczyma jéj duszy stała blada twarz i płomienne młodzieńcze źrenice, patrzące tak wymownie, a tak trwożnie. Wieczorny chłód

owiewał jéj lica, szare obłoki wisiały jak opona nad rozłożystemi kasztanami.

Mrawca nikt nie zatrzymywał, tylko Ernestyna zerknęła na niego proszącém oczkiem, ale ciotka Karolina uprowadziła ją z sobą.

— Kiss di hende, szepnął słodko sentymentalnym głosem Emil i poszedł ku bramie dziedzińca. Tam stała Marka i patrzała na drogę.

— A! jaka ładna dzieweczka! rzekł pochlebnie Mrawec, i chciał ją pogłaskać po świeżéj twarzyczce.

— Ej paniczu! ozwała się głośno Marka: proszę z daleka, bo jak się rozgniewam to cały rok popamiętasz...

Emil odskoczył jak oparzony i chyłkiem wysunął się z podwórza. Głośny śmiech Marki towarzyszył temu odwetowi niefortunnego Don Juana. W chwilę potém nadszedł Paweł i zatrzymał się przed bramą.

— Jeszcze się gniewasz, Marko? spytał cichym, proszącym głosem.

— Nie, Pawle, nie gniewam się, odparła dziewczyna i podała mu bukiecik, który trzymała w ręku.

— Da Bóg, Marko, a pobierzemy się na jesień. Ojciec już przystaje, rzekł Paweł i wziął ją za rękę.

— Marko! Marko! ozwał się z okna głos ciotki Karoliny. Marka uderzyła dłonią po spracowanéj ręce Pawła i znikła w sieni.

Szczęśliwy Paweł poszedł do domu, a przez drogę gwizdał sobie wesoło: „Oj! będzie to żoneczka jak iskra!" mówił sam do siebie i śmiał się całą twarzą. Moj Boże, tak mało potrzeba ludziom do szczęścia, jeżeli chcą być prostymi i naturalnymi! A ponieważ nie bacząc na to, szukamy go po ciemnym labiryncie światowych wymagań i urojeń, jakże krzyżują się i plączą nasze drogi, a ta jedna wiodąca nas ku rzeczywistemu celowi, jest przecięż tak prosta i jasna, światłem Bożéj łaski opromieniona! My mimo to błądzimy nieustannie. Bo jakże ustrzedz się omyłki, jak uchronić serce przed tchnieniem świata? Spokój duszy oto jedyne dobro, o które ubiegać się warto; on nam daje szczęście. On jest dla nas niby oazą na pustyni, niby wyspą zieloną wśród niezmierzonych obszarów morza. Lecą duszące piaski na skrzydłach gorącego wiatru, bałwany morskie nocą nieustannie swą szumiącą piosnkę, a w tym wiecznym ruchu, jak miłą jest przystań, w któréj odpocząć może skołatana dusza! Nie odczuje ten cichéj rozkoszy duchowego spokoju, kto nie zaznał wichrów i burz żywota...

IV.

Ludowit Znahorec nie mógł spać. Już po raz trzeci zapalił świecę i zaczął czytać. Litery biegały mu przed oczyma, wyskakiwały, a linie mieszały się chaotycznie. Odłożył więc książkę i zapatrzył się w sufit. Sufit zaczął się chwiać i przybierać fantastyczne kształty kopuły bez końca. Zamknął oczy, zjawiła mu się wnet piękna postać Eugenii, ale dziwnie, jakby martwa, rysy miała posągowo nieruchome, oczy szkliste, usta zsiniałe. Ludowit uniósł się z pościeli. „Czym w gorączce?" pomyślał, i przyłożył rękę do czoła, które pałało. Owładnął nim strach jakiś; chciał zawołać, nie mógł.

Wstał więc z łóżka i otworzył okno. Świeży nocny powiew orzeźwił go, ale nie mógł poskromić gwałtownych uderzeń serca. Ono biło tak silnie, że mimowoli chwycił się za lewy bok.

— Uciekać mi ztąd trzeba, uciekać! szeptał; powietrze tutejsze niezdrowe dla mnie. Spokojne dotąd serce zaczyna bić, spokój duszy pierzcha, krew uderza do głowy. Uciekać, uciekać co prędzéj! Ziemia pali się tu pod memi stopami, wdycham w siebie zabójcze wyziewy. Co mnie trapi, co mi dolega? Czyż to tylko gra wyobraźni? Czy tén ból, co sercem mém szarpie, urojonym nie jest?

(*D. n.*)

Wieści Polityczne.

☾ Życie parlamentarne francuzkie zaznaczyło się dwoma prawie jednoczesnemi wypadkami, świadczącemi w różny sposób o jedném: o rozluźnieniu kółek machiny społecznéj i przytępieniu zmysłu moralnego. Koalicye sprzecznych żywiołów, dla pognębienia rze-

czywistego lub urojonego przeciwnika, stały się nad Sekwaną wyrazem parlamentaryzmu, który według praktyki najstarszego a najzdrowszego ustroju parlamentarnego za Kanałem, powinien być nie szeregiem potwornych koalicyj, ale różańcem rozsądnych ustępstw wzajemnych. Dla sejmikujących dziś Francuzów w izbie poselskiéj i senacie są dwa tylko straszydła: Kościół i Gambetta. Burzycielski, choć maskowany radykalizm p. Gambetty, połączony z zachciankami podbicia całego kraju pod wolę jednego człowieka, kojarzy przeciwko niemu zarówno samopas chodzące żywioły czerwone, jak umiarkowańsze republikańskie, jak wreszcie zachowawcze mniéj lub więcéj monarchiczne. Tym sposobem przez chwilowy, zkądinąd nienaturalny związek dwóch krańców i środka sejmowego, potrafiono w końcu Stycznia jedném pchnięciem zrzucić ex-dyktatora z piedestału, na który się przeszło od lat dziesięciu wdrapywał. Tym samym sposobem nie dopuszczono go obecnie na członka komissyi budżetowéj, w któréj przedtém budował mosty do przywrócenia gallikanizmu w Kościele francuzkim. Owszem nie dopuszczono nawet jego zwolenników, tak dalece, że na 33 członków komissyi budżetowéj weszło zaledwo 4 unii republikańskiéj, liczącéj prawie trzecią część sejmujących, a i z tych czterech dwaj są uciekinierami z pod chorągwi p. Gambetty. Skoro jednak sejm potrąci o sprawy Kościoła i religii, natychmiast się koalicya zawiązana przeciwko p. Gambecie rozprzęga, a powstaje zaraz inna, wymierzona przeciwko Kościołowi. Radykalna unia republikańska p. Gambetty i ogon jaskrawo czerwonéj lewicy p. Clémenceau, podają rękę pewnéj części republikanów umiarkowańszych sąsiadujących z gambettystami, i przeprowadzają uchwały wymierzone przeciwko mniejszości złożonéj z prawicy i z lewego środka, w którym pomimo jego republikanizmu zachowało się poszanowanie dla religii, oparte na zrozumieniu jéj wysokiego posłannictwa w społeczeństwie. Tym sposobem ogromna większość izby poselskiéj zatwierdziła nowe wygnanie przez rząd Benedyktynów, prywatnie już mieszkających w Solesmes, i w ogóle zaleciła energiczne wykonywanie pamiętnych dekretów czerwcowych rozpędzających zgromadzenia zakonne. Tym samym sposobem otrzymuje obecnie zatwierdzenie w senacie odrzucone poprzednio przezeń prawo o bezwyznaniowém, owszem całkiem bezreligijném wychowaniu elementarném. Podług tego prawa, oprócz Niedzieli ma być jeszcze pozostawiony jeden dzień w tygodniu, który według upodobania rodziców i opiekunów może być obracany lub nieobracany na naukę religii; wykład jednak religii nie będzie przedmiotem obowiązkowym, a nawet nie można będzie jéj nauczać w obrębie gmachu szkolnego, jak to przecięż pozwolono niedawno w Belgii pod rządami ministeryum „liberalnego" i przy zerwaniu stosunków ze Stolicą Apostolską. Owszem zaciekłość posunięto tak daleko, iż osobnym paragrafem prawa wyłączono z rad szkolnych duchowieństwo, to jest żywioł najukształceńszy po wioskach. Napróżno z prawicy zachowawczéj senatu p. Chesnelong podnosił wymowny głos przeciwko takim potwornościom nowego prawa; napróżno z lewego środka filozof deistyczny p. Simon usiłował nakazać szkole przynajmniéj cześć nieokreśloną dla Bóztwa: koalicya podrzucała wszystkie poprawki, a przyjmuje artykuł po artykule według uchwał izby poselskiéj i zaleceń ministra wychowania p. Ferrego.

Obok tych opłakanych wyników koalicyjnéj roboty parlamentu francuzkiego, nie mamy z dwóch ostatnich tygodni nic ważniejszego do zapisania. Wspomnimy tylko, iż pokonane już prawie zupełnie powstanie w Dalmacyi i Hercegowinie oddziałało w sposób uspakajający na zestrachane umysły. Obawa nowego wyprowadzenia sprawy wschodniéj na krwawy plac boju w głąb się powoli usuwa.

SILVA RERUM.

Jubileusz Kostrzewskiego. — Towarzystwo osad rolnych. — Wiadomości bibliograficzne. — Katedra prawodawstwa polskiego, w Anglii. — Wystawa nowego rodzaju w Londynie. —Fotografia w obec trybunałów. — Zużytkowanie wodospadu Niagary.

Jubileusz Kostrzewskiego. W d. 18 zeszł. mies. przeszło 250 osób zebrało się w sali Resursy Kupieckiéj dla uczczenia trzydziestoletniego jubileuszu znanego z humorystycznego, praw-

dziwie rodzimym jaśniejącego dowcipem talentu rysownika, Franciszka Kostrzewskiego. Wszyscy artyści tutejsi wzięli udział w téj uroczystości, zakończonéj sutą biesiadą, a rozpoczętéj od przedstawienia w teatrzyku, urządzonym w sali, przystrojonéj najpopularniejszemi rysunkami jubilata, w reprodukcyach olbrzymich rozmiarów. Na scenie teatrzyku czarownice przygotowywały najpierw ucztę, warząc i mieszając w kotle; następnie wystąpił szereg komicznych deputacyj składających powinszowania. Poczém widziano szereg obrazów z dziejów żywota Kostrzewskiego, najwybitniejszych typów jego rysunków, a wreszcie jego apoteozę. Obrazom tym towarzyszyła odpowiednia muzyka. Na zakończenie rozdano obecnym książkę pamiątkową pod tytułem: *Niezapominajka*, opisującą ołówkiem, wierszem, prozą i nótami muzycznemi cały przebieg uroczystości. W pośród poezyi przypisanych w dniu tym Kostrzewskiemu mieścił się czterowiersz A. E. Odyńca, charakteryzujący w ten sposób działalność ulubionego artysty:

Jak w życiu ludzkiém i całéj naturze
Mędrzec w złem nawet miłość Stwórcy czuje,
Tak w każdéj nawet twéj karykaturze
Znać, że twą ręką ideał kieruje.

Towarzystwo osad rolnych, w dobrach odziedziczonych z zapisu ś. p. Kickiego zaprowadza obecnie gospodę chrześciańską, sklep spożywczy dla officyalistów miejscowych, dwie ochrony i szkołę elementarną. W dalszym ciągu zarząd towarzystwa stara się o jak najrychlejsze urzeczywistnienie zamiarów testatora, co do otwarcia szkoły rolniczéj niższéj, w celu kształcenia officyalistów, jako ekonomów leśniczych, pisarzów prowentowych i t. p.

Ustawy szkolne. Specyalna komissya utworzona przez ministeryum oświecenia opracowała, jak wiadomo, 70 punktów nowych przepisów o egzaminach dojrzałości w gimnazyach. Przepisy te dotyczą w ogóle wszystkich egzaminów gimnazyalnych, wstępnych, przejściowych, dodatkowych i dojrzałości i nim wniesione były do ministeryum, szczegółowo je rozpatrywały rady pedagogiczne gimnazyów, ministeryum zaś opracowało tylko ostateczne wnioski w tym przedmiocie.

Wszystkie rady pedagogiczne oświadczyły się za utrzymaniem obecnych przepisów o egzaminach z małemi tylko zmianami. Ministeryum przychyliło się do ich poglądu. Pozostawiwszy dotychczasowe przepisy o egzaminach bez żadnéj zmiany, wprowadziło do nich ulgi, jako to: Czas trwania egzaminów wstępnych, przejściowych i dojrzałości oznaczany będzie nadal przez kuratorów okręgowych naukowych. Dni naznaczone dla egzaminów ogłaszane będą w gazetach. Określenie stopnia postępu uczących się pozostawione jest w zupełności do uznania nauczycieli. Stopnie stawiane w ciągu roku szkolnego niepowinny mieć wpływu na egzaminach. Temata i zadania do piśmiennych robot przy składaniu egzaminów dojrzałości wyznaczane będą nie przez okręgi naukowe lecz rady pedagogiczne gimnazyalne. Roboty zaś piśmienne przy składaniu egzaminów dojrzałości nie będą miały znaczenia decydującego, i zły stopień za nie otrzymany, nie będzie przeszkodą do dopuszczenia ucznia do egzaminu ustnego.

Wiadomości Bibliograficzne. Drugi poszyt miesięcznika tego niezbędnie potrzebnego wszystkim kupującym książki, wyszedł z druku i zawiera Kronikę bibliograficzną, nowiny wydawnicze, oraz bibliografię książek polskich wyszłych lub otrzymanych w Warszawie w miesiącu Lutym.

Gazeta Lwowska podaje do wiadomości, że instytucya Macierzy polskiéj wkrótce już rozpocznie działalność swoją. W akcie fundacyjnym, który przedstawiony będzie rządowi, wyszczególniono, że celem fundacyi jest szerzenie oświaty rodziméj w tych warstwach społeczeństwa, w których jéj potrzeba okazuje się najpilniejszą. Właściwy majątek zakładowy wynosi rs. 20,000. Summa ta stanowi jednak tylko zawiązek, pierwszy główny dar, do którego przybywają ciągle nowe. Z kapitału zakładowego stałe czyste dochody obracane będą na wydawnictwa ludowe w najobszerniejszém tych słów znaczeniu. Wydawnictwa przedsiębrane będą drogą konkursu, daléj przez wybór prac nadesłanych niezależnie od konkursu, albo drogą zamówień. Nie należy do celów fundacyi ani nabywanie dzieł już wydanych, ani wydawanie broszur politycznéj treści. Książki przez Macierz wydawane, mają być pisane w języku polskim i w rusińskim, którego używa lud we wschodniej Galicyi. Siedzibą administracyjną „Macierzy" jest Lwów, organami administracyjnemi rada wykonawcza pod kontrolą kuratora i rada nadzorcza. Kuratorem jest J. I. Kraszewski, a zastępcą jego marszałek krajowy dr. Mikołaj Zyblikiewicz. Corocznie ma być podawane do wiadomości powszechnéj sprawozdanie z czynności „Macierzy polskiéj." Członkowie obu rad pełnią obowiązki swoje bezpłatnie, sekretarzowi zaś rada wykonawcza wyznaczy stosowną płacę. Zarząd kapitału żelaznego prowadzi wydział sejmowy, który zda corocznie sprawę sejmowi i publiczności. Gdyby wydział krajowy istnieć przestał, uchwali sejm, w czyje ręce ma

przejść zarząd, a w braku takiéj uchwały rozstrzygnie walne zgromadzenie obu rad. Gdyby i to nie nastąpiło, lub gdyby „Macierz polska" z jakichkolwiek powodów istnieć przestała, zarząd majątku ma przejść na Akademię umiejętności, a gdyby i téj już nie było, na uniwersytet Jagielloński."

Katedra prawodawstwa polskiego, w Anglii. Morfill specyalista literatury słowiańskiéj, ma w roku bieżącym rozpocząć wykład rozwoju prawodawstwa polskiego na uniwersytecie oxfordzkim, gdzie, na wstępie mówić będzie o Statucie wiślickim i ustawach Władysława Jagiełły.

Cezar Correnti. Na członka Akademii Mickiewicza w Bononii, zostającéj pod dyrekcyą professora Santagaty, zapisał się obecnie pierwszy sekretarz królewski i poseł do parlamentu, Cezar Correnti. Przystąpienie jego i prezydencya przezeń objęta, podniosą jeszcze więcéj tę instytucyę, gdyż p. Correnti na polu naukowém i polityczném, zalicza się do najznakomitszych osobistości we Włoszech. Zawiadomił już professora Santagatę, iż udzieli Akademii do publicznego odczytu niektórych rozdziałów niewydanego jeszcze wielkiego swojego dzieła o Polsce, które nazwać można filozofią historyi polskiéj. Dzieło to ukaże się jednocześnie po włosku i po francuzku, w dwóch wydaniach, jedném taniém, drugiém zaś illustrowaném i nader kosztownéem w Paryżu.

Wystawa nowego rodzaju w Londynie. W Londynie przygotowywa się na miesiąc Maj 1882 wystawa sposobów i środków ochrony i zachowywania życia ludzkiego. Przyjmowane na nią będą odpowiednie przedmioty jako to: 1) Sygnały i modele sygnałów dla kolei żelaznych. 2). Apparata bezpieczeństwa dla zakładów górniczych. 3). Sposoby zapobiegania wypadkom na ulicach. 4). Apparata dla donoszenia o pożarach i sposoby przytłumiania ich, oraz narzędzia ratunku. 5). Sposoby zapobieżenia pożarom w domach prywatnych, teatrach, gmachach publicznych. 6). Ulepszenia broni palnéj dla uniknienia wypadków. 7). Apparata bezpieczeństwa dla kotłów i machin w ogóle. 8). Dachy i schronienia przeciw zbyt wysokiej temperaturze, i niepogodzie. 9). Sygnały i narzędzia ratunku, tyczące się marynarki rządowej i kupieckiéj. 10). Rysunki, fotografie i książki mające stosunek z powyższemi przedmiotami.

Fotografia w obec trybunałów. Fotografia odegrała w tych czasach ważną rolę w procesie, który zwrócił uwagę prawników i uczonych. Pewny mieszkaniec New Yorku był oskarżony o sfałszowanie różnych papierów tyczących się polisy ubezpieczenia od ognia. Nie było żadnego dowodu; badającemu urzędnikowi przyszła myśl fotografowania ćwiartki papieru znalezionéj na biurku oskarżonego. Ćwiartka ta pokryta była znakami, jak gdyby podłożona została pod inną, na któréj kreślono słowa i cyfry, zresztą pozostała zupełnie białą. Pierwsze próby się nie udały i trzeba było uwydatnić światło i cienie. Cel był dopięty zdjęciem fotografii, za pomocą światła elektrycznego, na blasze pociągniętéj żelatyną z bromem. Odkrycie było zdumiewające. Wszystkie podstępne zamysły oskarżonego wyszły na jaw, nietylko obrachowywania, ale uwagi kreślone przez niego dowodziły one występku, skutkiem czego został skazany na pięć lat ciężkich robot.

Zużytkowanie wodospadu Niagary. Zamyślają w Stanach Zjednoczonych zużytkować siłę hydrauliczną Niagary. Niepierwsza to będzie próba tego rodzaju, spadki głównych rzek amerykańskich służą już do pożytku ogólnego. Siła ich ogólna odpowiada sile 75,000 koni, a że co najmniéj dwa razy zostaje użytą, przedstawia siłę 225,000 koni. W górzystéj części, mniejsze rzeki nie pozostają bezczynne siła ich równa się tamtym; tym sposobem Stany Zjednoczone rozporządzają siłą hydrauliczną 500,000 koni na 50 milionową ludność. Jest to jednak tylko podrzędna siła gór i dolin. Niagara jest tą potęgą główną, która zdaje się wszystkie pochłaniać i zawierać poczwórną ich siłę. Wykazano, że na minutę przepływa po nad spadkiem 285,000 metrów kubicznych wody. Pomnożywszy tę liczbę przez 61 metrów, gdyż jest to średnia wysokość kaskady, dochodzi się do siły ogólnéj 3 milionów koni, która mogłaby wystarczyć na potrzeby ekonomiczne ludności 200-milionowéj.

Przy blizkich już świętach Wielkanocnych przypominamy jak zwykle osobom miłosiernym skromne święcone, które zarząd zakładu paralityków pragnie urządzić dla biednych chorych, a na które łaskawie nadesłane ofiary przyjmują się w Red. Kroniki Rodzinnéj.

Ofiary. Na pomnik Mickiewicza złożyli: Nina W. kop. 50, J. Z. z Kijowa rs. 1.

Redaktorka i Wydawczyni **A. z Ch. Borkowska.**

ДозволеноЦензурою. Варшава 18 Марта 1882 г. W Drukarni Noskowskiego Mazowiecka Nr 11.

WARUNKI PRENUMERATY KRONIKI RODZINNEJ.

W Warszawie w Biurze Redakcyi, z odnoszeniem do domu, rocznie rs. **4** półrocznie rs. **2**, kwartalnie rs. **1**.

Prenumerować także można po téj saméj cenie we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism peryodycznych.

W Cesarstwie i Królestwie: rocznie rs. **5**, półrocznie rs. **2** kop. **50**. Pieniądze nadsyłać należy wprost do Redakcyi.

Cena pojedynczego Numeru kop. **20**.

W Cesarstwie **Austryackiém** — we **Lwowie**, w księgarni Gubrynowicza i Schmidta, po cenie: kwartalnie na miejscu flor. **1** cent. **80**. Kwartalnie z przesyłką pocztową flor. **2** cent. **15**.

W **Krakowie**, w księgarni Friedleina: kwartalnie w miejscu flor. **1** cent. **65**. Kwartalnie z przesyłką pocztową flor. **2**.

W W. **Ks. Poznańskiém**, w księgarni Żupańskiego kwartalnie w miejscu **1** tal., z przesyłką pocztową **1** tal. **6** sgr.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 8.

Дозволено Цензурою. Варшава 18 Марта 1882 г. W Drukarni Noskowskiego Mazowiecka N. 11.

Papiery Stanisława
[illegible]go

Materiały warsztatowe
(Cud [illegible]
[illegible])